N . 23 (1637) Warszawa, 8 czerwca 1912 r. Rok XXXII.

PRAWDA

Tygodnik polityczny społeczny i literacki.

Redakcja i Administracja: WŁODZIMIERSKA 5. Telefon 73-80.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Protest wyklętego.

Zbrodniczy zamach kleru, przeciwko „Zaraniarzom" uczyniony, stał się jednocześną próbą ogniową dwu stojących naprzeciw siebie światów, próbą, w której kler utracił resztki dostojeństwa, młoda zaś demokracja ludowa zyskała znamię moralnego hartu, zwarła się przekonaniowo i taktycznie zmężniała. Kler, zwalczając śród ludu wiejskiego wolność myśli i czynu, odwołał się do fanatyzmu i barbarzyństwa bezkrytycznie tępej masy; rodzącym się promieniom samowiedzy przeciwstawił przemoc biurokratycznego autorytetu; natomiast lud, zagrożony w swych najżywotniejszych ideałach, broniąc się przeciwko zabójczemu uciskowi kleru, odwołuje się do światłych idei humanizmu, kultury, harmonji społecznej i pracy twórczej u podstaw odradzającego się gmachu ojczyzny. Gdy ksiądz, w obronie zagrożonej kieszeni chwyta za kłonicę, chłop-zaraniarz odpowiada mu w walce argumentem, przekonaniem, ideą i wiarą. Jako świadectwo tej siły przekonania i głębokości wiary w zwycięztwo własnej sprawy, z którą się wiąże zarazem sprawa całej Polski nowoczesnej, zamieszczamy poniżej głos „wyklętego", jeden z wielu, jakie Redakcja nasza otrzymała w ostatnim tygodniu.

Klątwa, rzucona z wysokości tronu biskupiego na lud polski, czytający gazetę *Zaranie*, odbiła się głośnym echem po wszystkiej wsi polskiej. Czytających *Zaranie* wyklina się przez namiestników Chrystusowych nie za odstępstwo od kościoła i religji katolickiej, lecz za to jedynie, że „chłopi" i „chamy" przychodzą pomału do rozumu i zaczynają myśleć nad sobą. Chłop polski, uważany dotąd przez klasy uprzywilejowane i księży za bydło robocze, chodzące od wieków w jarzmie ciemnoty i upośledzenia, zaczyna nareszcie budzić się z uśpienia i martwoty i pragnie dziś swą ciężko spracowaną dłoń trzymać na pulsie życia naszej odradzającej się ojczyzny.

Zaraniarze, to pierwsza awangarda mas ludowych, na których spoczywa dalszy rozwój życia ekonomicznego i społecznego całego narodu polskiego, to pionierzy wioskowej walki ludu polskiego o równouprawnienie i uobywatelenie chłopa polskiego, który, dźwigając na swoich barkach największe może ciężary pracy fizycznej — żywi i utrzymuje wszystkie inne warstwy społeczeństwa.

Chłop polski, do którego mam zaszczyt i ja należeć, nie chce czekać aż go zdemokratyzuje szlachcic albo proboszcz wiejski; on wie, że demokratyzm musi się zbudzić z łona i piersi wsi polskiej, on wie, że na to, aby być dobrym obywatelem kraju, trzeba wiedzieć co się w tym kraju dzieje, kto idzie z nim, a kto przeciw niemu; kto go prowadzi do światła, wiedzy i dobrobytu, a kto nastaje na jego zgubę; on wie, kto mu świeci przykładem, a kto daje zgorszenie.

Nietylko więc szlachcicowi, doktorowi, adwokatowi, i biskupowi przysługuje prawo bronić się i krytykować takie lub inne błędy społeczeństwa; chłop polski, to także cząstka narodu który upadłszy pragnie powstać. A chociaż go warstwy i stany uprzywilejowane wydziedziczyły z niektórych praw i przywilejów — on wierzy i czuje, że czas zrówna go kiedyś z innymi i jego „jestem" zaważy kiedyś na szali zmartwychwstania.

Czytelnicy *Zarania* nie są odstępcami wiary i Kościoła, za jakich poczytują ich księża i biskupi, klątwa rzucona z tronu biskupiego to dla nas tryumf i zwycięztwo prawdy. Wszak w *Zaraniu* prócz krytyki i protestu przeciwko postępowaniu naszych duszpasterzy nic zbrodniczego czytelnik

nie znajdzie, a że prawdy każdy się boi i ta go w oczy kole, więc cóż łatwiejszego jako w obronie swych ujawnionych grzechów — rzucić klątwę na tych, którzy te prawdy głoszą?

A użyto do tego kogo? Naturalnie, że „chłopa“, tego „chama“, który w swym fanatyczno-pobożnym duchu nie ośmieli się podnieść głosu w sprawach swoich najświętszych i pod pręgierzem klątwy pozostanie nadal „głupim“, „ciemnym chłopem polskim“, stworzonym do orania ziemi i bijącym czołem przed każdym Macochem, ubranym w szaty nauczyciela Chrystusowego, bezczeszczącym przybytki Pańskie i okradającym „pobożny lud polski“ z jego krwawicy, składanej Bogu w ofierze. Dlaczego dzisiaj nie wolno chłopom czytać sprawozdań z gazet o Macochu i Spółce? Wszak i tu biskupi i księża nawołują z ambon w kościołach, że kto o Macochu będzie rozszerzał wieści, nie będzie zbawionym.

Czyż tu nie widać w całej tej robocie księżej tuszowania tego, co winno być jawnie i głośno napiętnowane?

Chłop polski zdaje sobie sprawę aż nadto jasno z ogromu ofiar, jakie lud rok rocznie znosi i składa na Jasnej Górze. Pod wpływem nawoływań „ojców“ Damazych i Izydorów szedł i idzie dziesiątki wiorst o chlebie i wodzie, aby ciężko zapracowany krwawy grosz oddać na tacę ołtarzy Jasnogórskich. I cóż w zamian za to otrzymuje? Wyklęcie biskupów za swoją naiwną prostaczą wiarę, obliczoną na wagę dostarczanych przez się złotówek na ofiarę — dla Heleny Krzyżanowskiej...

Za tę kontrolę ojców duchownych zostaje wyklęty.

Ale chłop, czyli „cham“ zrozumiał nareszcie, że jego udział w gospodarstwie wiejskim daje mu także prawo i udział w gospodarce społecznej narodu. Jego zmysł spostrzegawczy każe mu się orjentować, że chcąc zebrać dobry plon żniwa, trzeba chwasty i pokrzywy trzebić i niszczyć a nie chować je napowrót do ziemi, aby stamtąd nowe kąkole wyrosły...

Gdyby polski naród ze swoich wad i przywar spowiadał się głośno, a nie chował pod korcem grzechów i błędów Macochowych, kraj nasz nie byłby krajem czczych haseł i klątew, których chłop polski — pierwszych unika, a drugich, niestety, już się nie boi.

Wyklęty *Michał Lis.*

Wieś Suchodębie Warsz. Gub. 28 maja 1912 r.

P. S. Inne pisma upraszam o łaskawe przedrukowanie niniejszego listu, jako protestu przeciwko klątwie biskupiej.

M. L.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Europa znajduje się w stanie równowagi niestałej. Dyplomatyczna straż pożarna zmobilizowała wszystkie swe oddziały, aby gasić pośpiesznie każdy płomień, grożący katastrofą, mimo to jakiś złośliwy wiatr roznosi iskierki po różnych punktach, utrzymując ją w ciągłym ruchu i niepokoju. Nie ulega wątpliwości, że tu i wola ludzka dopomaga naturze, każdy bowiem stara się przeciwnika zaszachować i osłabić, by zyskać wolne ręce do własnej gry. I tak Francja, osiągnąwszy po długich i ciężkich targach z Niemcami protektorat nad Marokiem, przekonywa się, że to drogo okupiona zdobycz jest czymś w rodzaju trojańskiego konia. Zaburzenia w Maroku przybrały rozmiary groźnego powstania, blizko 50,000 armję francuską wyczerpują tak dalece, że jest mowa o posłaniu jej nowych z Europy posiłków, a ludność Fezu poruszona hasłami wojny świętej niepokojącą przybiera postawę. Mulej Hafid trzyma się przy władzy dzięki poparciu wojsk francuskich. Aż do znudzenia powtarza się ciągle ta sama sztuka marokańska Francja układa się z całą Europą oraz z Sułtanem o swe przy-

---

F. Jabłczyński.

SYZYFOWA PRACA.

(Ciąg dalszy).

Znowu rozpoczęły się dawne praktyki.

Pewnego razu, wieczorem, gdy zmiarkowałem, że wzruszenie, niepokój, rozpacz mojej ofiary wzrosły do dostatecznego stopnia, uchyliłem furty klasztornej, kiedy w ogrodzie nie było nikogo.

W dali nad morzem rozkładało się malowniczo starożytne Dyrrahium, błyszcząc jako świat otwarty, szeroki, wabiący, skąpany w złocie i krwi gasnącego na zachodzie słońca. Rozsunąłem nad jej głową zawrotne sny o wolności, swobodzie, szczęściu, o szerszym życiu, innym, aniżeli te, które prowadziła obecnie. Przez chwilę wahała się, pełna rozpaczy i niepewności, nie mogąc zdecydować się na krok ostateczny. Wreszcie zwyciężyłem.

Przestąpiła próg klasztorny i poczęła uciekać, sama nie wiedząc dokąd, gdzie oczy poniosą.

Długo biegła, wreszcie zmęczona, uspokojona nieco, przysiadła w lasku, przy drodze. Zjawiłem się jako osioł, bo w nic lepszego niestety zamienić się nie mogłem. Wziąłem ją na grzbiet i omijając miasto, skierowałem się brzegiem, morza na północ, mając zamiar nie zatrzymywać się nigdzie, póki nie stanę w Aquilei.

Zpoczątku popędzała mnie. Ale następnie siły ją zawiodły i poddała się zupełnie mojej woli. Szedłem szybko przez noc całą.

Ale nad ranem rozpoczął się od razu dzień upalny. Czułem, że ciężar mój, który niosłem na grzbiecie, nie wytrzymadłużej zmęczenia bezsennej nocy i przebytych wruszeń. To też wyszukawszy

wileje w Maroku, a gdy wreszcie szczęśliwie wszystko na papierze zostanie załatwione, fakty dokonane w postaci wewnętrznych przewrotów, detronizacji dawnego władcy, obwołania nowego i t. p. unicestwiają tak mozolnie zbudowany porządek rzeczy — i zaczyna się wszystko na nowo de capo al fine, nowe konferencje, nowe traktaty równie nietrwałe i z nikome. Nie tylko podejrzenia ale faktyczne poszlaki potwierdzają przekonanie, że nad permanencją sprawy marokańskiej troskliwie czuwają Niemcy.

Włochom udało się bardzo skutecznie zamącić wody morza Śródziemnego. Wprawdzie z cieśniny Dardanelskiej miny już zostały wyłowione, bynajmniej jednak z tego nie wynika, aby wraz z nimi usunięto wszystkie materjały wybuchowe ukryte w falach mórz południowo wschodnich. Szybki rozrost włoskiego stanu posiadania na archipelagu zaniepokoił władczynię mórz, która specjalny posiada interes, by w tej stronie swego wodnego królestwa czuć się zupełnie u siebie, a dotąd nie przywykła w okolicach Cypru, Egiptu i Suezu spotykać się z poważną przeciwwagą swych wpływów. Jest to dla W. Brytanji łamigłówka kłopotliwa, że zmusiła ją do zwołania specjalnej rady ministerjalnej połączonej z oględzinami na miejscu, a ta narada połączona z wyjazdem ministra Churchilla i lorda Kitchenera na wyspę Maltę, była punktem wyjścia dla dyskusji o zamienieniu porozumienia z Francją na formalne przymierze. Wielka flota brytańska okazuje się jeszcze nie dość wielką na wygórowane potrzeby niepokojącej chwili politycznej.

Trudno równocześnie koncentrować imponującą potęgę morską na morzach północnych przeciw Niemcom, zatrzymując u brzegów egipskich i bram Suezu straż dość mocną, by stawić czoło wszystkim możliwym współzawodnikom. Oczywistą byłoby korzyścią wyręczyć się w tym punkcie wiernym a dobrze uzbrojonym sprzymierzeńcem: trudność polega tylko na odwzajemnieniu się temuż. Co można ofiarować Francji za pomoc na morzu? Pomoc armji lądowej, ale tej dotąd niema i nie można jej stworzyć na poczekaniu, łamiąc odwieczne tradycje antymilitarne narodu angielskiego. Byłoby to teraz tym trudniejsze, że Anglja nie cieszy się spokojem wewnętrznym. Niezrównany ład oparty na znakomitej organizacji wewnętrznej społeczeństwa angielskiego, swobodne i spokojne dojrzewanie reform chroniących od nagłych przewrotów, trwały w Anglji póty, póki ona poprzestawała na swej „splendid isolation" w sprawach ogólno-europejskich. Od chwili, przejścia do systemu zaczepno-odpornych przymierzy, zwłaszcza od zarysowaniu się anglo niemieckiego antagonizmu, wybuchają w niej chronicznie burze strajkowe, wyczerpując ją i obezwładniając w momentach, gdy potrzebuje największą na zewnątrz wykazać odporność a i siłę. Wszystkie te strajki, jak i obecny transportowy, dotykają zawsze takich gałęzi pracy, które paraliżują jej komunikacje i normalne funkcjowanie jej portów. Trudno oprzeć się podejrzeniu, że w tych ekonomicznych zatargach. działa anonimowo, tajna maszynerja niemiecka.

Rząd niemiecki na razie niema kłopotu ze swoją opozycją, gdyż — odroczywszy przedwcześnie parlament dał jej długie wakacje. Natomiast przykry uczyniła mu zawód jego najbliższa i najcenniejsza pupilka Hollandja. którą przywykł uważać jako naturalną i przynależną sobie sferę wpływów tylko formalnie i nominalnie niezawisłą. Wizyta królowej holenderskiej w Paryżu może mieć jedynie polityczny charakter i jest poniekąd antyniemiecką manifestacją wielkiego znaczenia, gdyż wraz z sentymentem królowej Wilhelminy, w stronę Paryża zwraca się ujście Renu. o którego brzegi walczono przez 40 laty, a którego wierności niedopilnowała „Die Wacht am Rhein".

Syntezy.

„Polsko ty moja, gdy my nieprzytomni
„Będziemy, wspomnij tyo nas o! wspomnij!
„Wszak myśmy z twego zrobili nazwiska
„Pacierz co płacze i piorun co błyska.
Słowacki.

I.

Żyjemy w dobie poszukiwania syntez Niby umęczony Piotrowin wychodzi z grobowego tłumu sprawa polska, aby ukazać światu i rodakom swe rany. Świat napatrzył się na nie aż do obrzydzenia, rodacy przywykli do obojętnego rozpatrywania wielkości swego nieszczęścia. Nowele ukazujące się w dziedzinie historjozofji Polski, przypominają, pod wielu względami nabożeństwa za duszę ojczyzny.

Legenda sprawy polskiej skazana jest na wieczne tułactwo, które samo przez się, powinno okrutny cios zadać jednej z patrjalchalnych cnót, dumie narodowej! Ale potrzeba zsyntezowania

---

miejsce cieniste i zacisze wśród skał, u źródła, pozostawiłem ją tam, by spoczęła. Sam zaś, zmieniwszy postać, udałem się do pobliskiej osady rybackiej, aby zdobyć trochę owoców, mleka, bo okolica pod tym względem była najzupełniej pusta.

Ale w osadzie panowała bieda. Długo musiałem szukać, zaglądając do chat, aby wynaleźć coś odpowiedniego, wreszcie, obładowany, wracałem w najlepszej myśli.

Niestety w drodze już mię coś tknęło, nieokreślone jakieś przeczucie czegoś niedobrego.

Mianowicie powracając, minąłem w drodze podejrzaną gromadkę rybaków. Właściwie byli to piraci, tak pospolici w tych miejscach, pełnych kryjówek naturalnych, gdzie gnieździli się od dawna. I ani Grecja, ani Rzym potężny nie mogli ich ztamtąd wyplenić całkowicie, pomimo starań i wysiłków. Szli w pięciu, prowadzeni przez młodego i rosłego dalmatyńca, który zdawał się być ich naczelnikiem czy przywódcą. Wszyscy już byli dobrze podchmieleni Śmieli się i rozmawiali głośno.

Kilka pochwyconych w przelocie słów wystarczyły, aby mię zaniepokoić. Podwoiłem, potroiłem kroku, zdjęty obawą. I przekonałem się, że nie była ona płonną.

Zastałem siostrę Agatę we łzach. Ubranie miała poszarpane, twarz, szyję, ręce podrapane, w sińcach, włosy w nieładzie. Widocznie broniła się — broniła rozpaczliwie Ziemię naokoło skopano. Ale obrona musiała być bezskuteczna.

Zapewne trudno mi było ze szczegółami odgadnąć, co zajść mogło. Ale nie chodziło o to Domysł był łatwy. Piraci uczynili to, czego ja nie mogłem!

Stanąłem nad ruiną projektów, bezradny i wściekły.

Agata płakała, modliła się i zachowywała się dziwnie. Gdyby nie poprzednie podejrzenia,

rozproszonych drobnych objawów życia jest istotną, i raz po raz przeto święcimy zaduszki.

Historycy, publicyści, politycy nasi przystępując do dzieła syntezy, wychodzą z faktu śmierci organizmu państwowego Polski jako z założenia. Zasadniczy ton jest czarny i ma zimne tchnienie mogiły. Analiza przyczyn upadku prowadzi do piętnowania przywar i wad charakteru narodowego. Łańcuchem następczości wiąże się piętnowanie to z tanim moralizatorstwem i z usiłowaniami zastąpienia charakteru swoistego, przez angielski, żydowski, niemiecki. Któż nie zna tych oskarżeń składających winy na anarchję szlachecką, rozwój możnowładztwa, upadek władzy centralnej, brak silnego stanu trzeciego, nadmierny wzrost żydów, ekspansję państwową na obszarze litewsko-ruskim?

Któż nie słyszał o rzekomym wybujałym indywidualizmie narodowym, braku ścisłości w rozumowaniu, nieurodzaju na silne charaktery, łatwości do kompromisów, iluzjonizmie politycznym, atrofji woli i prywacie?

Doszliśmy do tego, że łatwowierność, pieniactwo, przekupstwo ba... nawet zdradę zaliczamy z upodobaniem do cech rdzennie polskiego charakteru. Nie ustępujemy w tym naszym wrogom, którzy obrabiają Polaków z upodobaniem, mierząc prosto w serce, bo dyskretując moralną wartość imienia polskiego. W Polsce wszystko i wszystkich można kupić, powiadają.

Coby tu rzekł Jugurta, który raz o Rzymie powiedział: O venalem urbem, si emptorem inveniat! A tu co? Swobody, honory, dygnitarstwa przedajne, przedajna i cnota i wiara i ojczyzna i wszystko przedajne. (K. Opaliński—*A a wszechmocne podarki u nas, i że tu w Polszcze omnia vaenalia*).

Ma to być naród przeniewierców, wsteczników, lekkoduchów, pijaków, sprzedawczyków, pieczeniarzy. Główny poeta ich Mickiewicz apoteozuje zdradę. Skarżą się na ucisk, gdy sami ciemiężą wszędzie gdzie im po temu nadarzy się sposobność. Cały szereg denuncjacji prowokacyjnych w prasie zagranicznej zmierza ku poderwaniu autorytetu i powagi moralnej polskiego cierpienia..

Ale z wrogami łatwo można dać sobie radę, o wiele niebezpieczniejsi są przyjaciele, którzy pod pozorem krytyki historycznej i społecznej przemycają niewiarę w Polskę.

Wrzekomo pozytywne ujęcie wielu kwestji życia narodowego walczy z żywiołem uczucia, stanowiącego chlubę Polaków. Dotąd niezbadana, mistyczna świętość, jakowaś ofiarna i rozlewna rzewliwość, jakowyś ujmujący urok, pełen fantazji, mocy, cudu jakiś smęt dziwny — brzmiał w wyrazie „Polska“.

Trzeba wieszczym uchem i całą potęgą ukochania wsłuchać się w dźwięk tego wyrazu, aby odnaleźć w nim zaklęte słowa Króla-Ducha, odczytane przez Słowackiego. *Na ból skała.* Kiedy czar zaklęcia otaczającego jakąś ukrytą glorją imię polskie przeminie, kiedy program: enrichissez vous messieurs zastąpi — misterjum, nastąpi epoka gaśnienia kultury, którą już widzi Świętochowski w Poznańskiem Wierzmy, że tak źle nie jest... Urok dotąd trwa... Aby rozpowszechnić go na miljony, trzeba nieustannie podnosić wszelkimi godziwymi sposoby, te dodatnie czynniki dziejów naszych, które stanowiły, stanowią i stanowić będą o wielkości Polski. Pokolenie wyrosłe i wychowane w niewoli, bez chwały, we wzbierającym nikczemnieniu świata, powinny sobie jasno uplastycznić to, czym żył naród w przededniu swojej tragedji, i to co było w tym życiu najpiękniejszego.

O tyle przecież nie zmarnieliśmy, abyśmy nie mogli pojąć i wyczuć w jak wielkiej mierze szlachetne ideały gromady ludzkiej, tkwiły w przebiegu całym dziejów naszych.

Historjozofowie nasi mają przed sobą wzniosłe zadania, wyzyskania pod tym względem obfitego materjału historycznego.

Nie będzie to zadanie trudne, ni też sztuczne. Pewne cechy najogólniejsze są wyrażone tak jaskrawo, że biją poprostu w oczy. Zamiłowanie wolności, autonomja jednostki w szerokim zakresie, kosztem niedorozwoju czynników państwowych, swoboda obywatelska w najistotniejszym znaczeniu.

W tym, że skutkiem wspomnianego układu stosunków była śmierć polityczna, niema nic hańbiącego. Niemamy się czego wstydzić. Upaść może naród szlachetny..

Idea wolności obywatelskiej zwyciężyła w na-

łzy i smutek mógłbym przypisywać wyrzutom sumienia z powodu ucieczki z klasztoru. Ale sny ją zdradziły. Rzucała się we śnie, wymawiała słowa, prośby, zaklęcia, które nie pozostawiały wątpliwości. Trzeba było czekać. Agata mogła zostać matką.

Więc przybywszy do Aquilei, umieściłem ją w małym domku pod miastem, zamieniwszy się w starego, kalekiego niewolnika. I w przepisanym ściśle terminie chatę naszą nawiedził nowy człowiek. Ku mojej radości była to dziewczynka.

To też z zaciekawieniem przyglądałem się małej, pomarszczonej istotce, usiłując odgadnąć, co z tego wyrosnąć może w przyszłości? Badałem kolor jej włosów, wyraz oczu i z radością stwierdzałem podobieństwo do matki,

Ostrożnie starałem wybadać Agatę, co do szczegółów, tyczących się fatalnego wypadku, który ją spotkał, podczas mojej nieobecności, na drodze między Dyrrahium i Aquileją. Chciałem się dowiedzieć czegoś o domniemanym ojcu.

Ale biedaczka milczała. Musiała być w kłopocie. Było ich pięciu. Czy uważała?

Jeździłem kilkakrotnie do miejscowości, zkąd była rodem Agata, aby dowiedzieć się szczegółów o jej rodzicach, o jej rodzie. I poraz pierwszy zetknąłem się wtedy z kwestją nadzwyczajnego skomplikowania człowieka, co się tyczy jego przodków i pochodzenia.

Badałem wieś, z której pochodzili domniemani ojcowie mojej małej. Byli to mieszkańcy jednej i tej samej osady, chodzili jednakowo ubrani, mówili tym samym językiem albańskim, mieli jedną religię, te same zwyczaje, przesądy, pojęcia — należeli słowem do jednej i tej samej narodowości.

C. D. N.

rodzie naszym nawet instynkt samozachowawczy. Na fakt ten zapatrywać się można z rozmaitych punktów widzenia. Dominujący pogląd upatruje w nim tylko tytuł do oskarżeń, wobec tego iż takie rozwiązanie zagadki historycznej zostało połączone z klątwą, ciążącą na naszym wieku i paru pokoleniach, które zwątpiły! Ba... atoli wiek jeden i pokoleń parę nie stanowi o życiu narodu. O tym pamiętać powinni ci, którzy poczytują się za realistów. Drugą cechą posiadającą niezmierny wpływ na ukształtowanie życia prywatnego i publicznego w Polsce, była kultura łacińska i puścizna duchowa i cywilizacyjna po wielkim Rzymie.

Szlachecka utopja oparcia pomyślności państwa nie na reformie racjonalnej urządzeń, lecz na doskonałości moralnej obywateli rzeczypospolite, płynęła ze źródeł krasomóstwa i filozofji moralistów łacińskich.

Z tegoż źródła brały swoje wzory i męstwo i wysokie poczucie godności, powaga mężów i cnota niewiast. Połączenie pojęcia łacińskiego *vir* z obyczajnością słowiańską, wytworzyło piękny i hardy typ szlachcica polskiego o duszy rogatej, a twarzy pogodnej, wesołej. Późniejsze dzieje, w noc ciemną nieszczęść narodowych, wykazały ile w typie tym było dzielności, piekielnej odwagi, fantazji i żywotności. Miał swój wielki gest zaiste kontuszowy polonez, prowadzony przy akompaniamencie huku dział i rac wiwatowych...

Błyskotliwy, imponujący *virtute* narodu rycerskiego, pełnego poczucia prawa, mimo sejmikowego wrzasku, umiejący nawet w chwili depresji i rozprzężenia wydawać z siebie Rejtanów, polonez ów zwijał się i rozwijał, tworzył piękne jak sen figury historyczne sejmu czteroletniego, konstytucji majowej, szedł w przyszłość świetny, dumny, wspaniały po to, aby przeminąć jak majaczenie i rozpłynąć się w żałobnych akordach pogrzebowego marsza. Naród zginął w chwili swoich największych wytężeń w kierunku odrodzeniowym. Z chwilą zgonu Polski niepodległej, rozpoczynają się dzieje „sprawy polskiej".

Lejtmotywem tego marsza, na który składa się wędrówka legjonów śladem orłów pierwszego cesarstwa, romantyczne tułactwo emigracji, dwa powstania narodowe i wreszcie ruch rewolucyjny r. 1905, jest melodja dawnego poloneza szlacheckiego. W miarę jednak, jak w krwawym trudzie szlachta odkupuje swoje winy, tony ideologji szlacheckiej cichną coraz bardziej: śmierć zbiera swoje żniwo, trapiąc najdzielniejszych i najwaleczniejszych, najideowszych. Uchronić się zdołali z krwawej walki: słabsi, tchórzliwsi, mniej ofiarni... Polska szlachecka w trakcie „sprawy polskiej" przeobraża się w Polskę narodową. Na arenę tragedji wystąpił lud, zrazu w charakterze chóru milczącego, którego głos ma wolę boską wszem objawić. Chór ten wystąpi z czasem w charakterze protagonisty.

Zaczęte pieśnią legjonów skończone milczeniem, całe stulecie dziejów naszych, jest już poza nami. Przechodzimy teraz przez jego kręgi, przez piekło — i oczyszczenie — i niebo, jeśli ma niebo — ważąc cienie ludzi i wypadków w sumieniu, aby jednym oddać podziw, drugim miłość, innym współczucie, czy pogardę, — a na wielu spojrzeć i pominąć! Są to nasze godziny wspomnień. Po nich idą godziny rozpaczy, a po nich większe od godziny przestrogi.

Wszystkie oświecone są światłem nieśmiertelnej, nieodgadnionej gwiazdy losów naszych. Kto za tą gwiazdą w przyszłość podąża, pozna godziny szaleństwa, udręki — i pójdzie dalej bogatszy na duszy — dokąd? W tym dokąd? leży zuchwała radość samotnej odwagi, bo pytanie to wali się pod nogi nasze złowrogą ciemnością pełną nienawiści, skrawych spojrzeń, zatrutego szydu, rąk wyciągniętych po serca dzieci — po mowę Skargi, Jana z Czarnolasu, Słowackiego — po ściany rodzinnego domu. Ale „duch unosi się ponad ciemnościami, a ciemności go nie ogarną".

Jerzy Jankowski.

Listy z Galicji.

VIII.

Przerwanie procesu dyrektorów Banku Parcelacyjnego. Atak narodowych demokratów przeciwko ministrowi Długoszowi. Rezolucja Koła Polskiego w sprawie uniwersytetu. Przyszły marszałek.

Dotychczasowy przebieg procesu Banku Parcelacyjnego uwidocznił, jak już wspomniałem w liście poprzednim, bezpodstawność zarzutów robionych jego dyrektorom. Całe oskarżenie opierało się na zarzutach należycie nie sprawdzonych i nieuzasadnionych. Niektórzy eksperci sądowi przeprowadzali tak nieumiejętnie badania ksiąg banku, że w sprawozdaniu swoim, na którym w stopniu znacznym, opierały się niektóre części aktu oskarżenia, popełnili znaczne omyłki w obliczeniach. Obrona przy końcu rozprawy z łatwością wykazała owe niedokładności. W obec tego prokurator powinien był, ze względu na cały tok sprawy, cofnąć poprostu swoje oskarżenie. Tymczasem stało się inaczej: zażądał on przerwania procesu, celem uzupełnienia dochodzenia. Sąd przychylił się do tego żądania, co w praktyce pociąga za sobą jakby rozpoczęcie sprawy na nowo.

Wszystko to robi dziwne wrażenie na ludziach nieuprzedzonych. Wiadomym jest bowiem, że władze sądowe sprawę chcą przeciągnąć, nie wiadomo dlaczego, chyba tylko po to, aby dogodzić narodowej demokracji, która ma jeszcze wśród sądownictwa znaczną ilość zwolenników.

Widząc że proces Banku Parcelacyjnego nieda jej laurów, narodowa demokracja zrobiła krok rozpaczliwy; oto zagroziła ministrowi Długoszowi że go skompromituje, ujawniając jego mniemane krzywoprzysięstwo, jeżeli nie pomoże jej w skompromitowaniu posła Stapińskiego. Manewr się nie udał. Fakty ogłoszone przez *Słowo Polskie* udowodniły wprawdzie, że minister Długosz formalnie był wpisany na członka nar. dem. wbrew temu co mówił w sądzie, wykazały jednak zarazem, w zestawieniu z innymi okolicznościami, że nietylko on sam lecz i p. Wolski (nar. dem. który go zbliżył z tym stronnictwem) o tej oficjalnej przynależności zapomniał. Tak że o żadnym krzywoprzysięstwie mowy być nie może. To brudne wymuszenie zastosowane do ministra Długosza wywołało powszechne oburzenie i spowodowało wystąpienie z endecji posła Tarłota, posła Jabłońskiego, prof. Zakrzewskiego, publicysty Dąbrowskiego i paru innych osób.

Zdawałoby się że te niepowodzenia narodowej demokracji powinny ją były dobić; tymczasem okoliczności tak się złożyły, że potrafiła ona chwilowo, za pomocą swojej ostrej demagogicznej taktyki uzyskać pewne zwycięztwo, w sprawie uniwersytetu we Lwowie.

Wiadomo było powszechnie, że, niezależnie od opinji poszczególnych posłów w Kole Polskim

(należących do stronnictw t. zw. blokowych), większość bloku gotową była zgodzić się na założenie uniwersytetu ruskiego we Lwowie. Ludowcy wypowiedzieli się za tym jawnie, demokraci godzili się na to żądając jednak, aby Rusini zaprzestali obstrukcji w sejmie, konserwatyści krakowscy nie byli także przeciwko wszechnicy lwowskiej w stolicy kraju.

Zdawało się więc że, pomimo, na gwałt sklejanego, protestu rady miejskiej lwowskiej, Koło zgodziło się na uniwersytet ruski we Lwowie.

Tymczasem narodowi demokraci z podolakami i nieodstępnymi ich towarzyszami z „frondy" ludowej zaczęli agitację we Lwowie i na prowincji przeciwko uniwersytetowi ruskiemu w stolicy. Wiece te na których powzięto odpowiednie uchwały były objawem opinji pewnych tylko Kół, z łatwością można było zorganizować inne wiece na których powzięto by inne rezolucje. Tego niestety nie zrobiono. Ci co byli za uniwersytetem ruskim nie mieli odwagi, prócz samych tylko socjalistów, oświadczyć się za nim. W łonie samych stronnictw blokowych powstała zupełna dezorjentacja. Podnieść to należy, że jeden konserwatywny „Przegląd" (oczywiście prócz *Głosu* i *Naprzodu*) miał odwagę wystąpić, z punktu widzenia polityki ogólno polskiej, za uniwersytetem ruskim we Lwowie.

Nie ma społeczeństwa w którymby rozmaici awanturnicy, blagierzy i szulerzy polityczni zdobywać mogli tak łatwo wpływ jak w naszym. To też, historia nasza przedstawia niestety dużo przykładów wysuwania się, na czoło narodu, jednostek nieudolnych i niekompetentnych, które prowadzą ogół na manowce.

Stronnictwa polskie reprezentujące masy narodu jak ludowcy i socjaliści były za założeniem uniwersytetu ruskiego we Lwowie.

Koło polskie powinno było nie lękać się demagogii wszechpolskiej, a dziecinne pogróżki p. Grabskiego, że ludzie jego zdemolują uniwersytet rnski, we Lwowie, gdyby taki miał powstać, traktować humorystycznie. Jeden pułk huzarów wystarczyłby na doprowadzenie do porządku „prawdziwych" podolaków w stolicy. Tymczasem Koło polskie zlękło się i ustąpiło podolakom i tym co świadomie, albo nieświadomie im się wysługują i powzięło uchwałę przeciw założeniu uniwersytetu we Lwowie. Na wstępie zaznacza ona, że społeczeństwo polskie nie odmawiało nigdy (!?) Rusinom prawa do własnego uniwersytetu, następnie przechodzi do warunków przy których mógłby on powstać. Żąda więc zaprzestania obstrukcji w sejmie która jak wiadomo nie ma nic wspólnego z uniwersytetem. Domaga się uznania polskiego charakteru istniejącego uniwersytetu, co jest słuszne, wreszcie występuje przeciwko wybraniu Lwowa na miejsce dla Wszechnicy ruskiej.

Ustęp o Lwowie niema wprawdzie charakteru ultimatum, stawianego rządowi, wyraźnie jednak wypowiada się przeciwko żądaniom ruskim.

Poprzednio prezes ministrów konferował z Kołem i uzyskał nieoficjalną zgodę jego prezydjum na uniwersytet ruski we Lwowie. Żadne protesty prasy, związanej z większością Koła nie są w stanie faktu tego obalić. Tak więc, Koło cofnęło się przed demagogią, cofnęło się lekkomyślnie, nie zdając sobie sprawy z konsekwencji tego kroku. Mimo to, w niektórych polskich kołach politycznych panuje opinja, że sprawa uniwersytetu ruskiego będzie załatwiona w myśl żądań ruskich. Dają się już słyszeć głosy, że naprzykład Zamarstynów (gmina, sąsiadująca ze Lwowem, właściwie miasteczko) nie jest Lwowem, że więc uniwersytet ruski mógłby powstać w tej miejscowości. Są to naturalnie pogłoski tylko.

W każdym razie sytuacja się znacznie pogorszyła, za kilka dni ma wyjść rozporządzenie cesarskie, dotyczące przygotowań założenia odrębnego ruskiego uniwersytetu, bez wymienienia miejsca jego powstania. Wobec zaostrzonej walki narodowościowej mowy być nie może, o ile się coś nie zmieni, o zwołaniu sejmu w tym roku, sprawa reformy wyborczej pójdzie w odwłokę.

Za dni kilka nastąpi nominacja marszałka krajowego. Wobec oporu ludowców i Rusinów przeciwko kandydaturze Abrahamowicza, możliwym jest powołanie Adama hr. Gołuchowskiego, brata byłego ministra.

Kandydatura ta nie budzi już takiej opozycji jak poprzednia. Hr. Adam Gołuchowski został niedawno członkiem izby panów, oddawna był posłem sejmowym, zasiadał też i w Radzie Państwa. Jest to człowiek już stary, głosu ani w sejmie, ani w parlamencie nie zabiera, z przekonań należy do umiarkowanych podolaków. Mówią o nim, że będzie lojalny wobec innych stronnictw i nie będzie czynnie przeszkadzał pożytecznym usiłowaniom w sejmie.

Tegoż dnia rozpoczęły się obrady Zjazdu prawników i ekonomistów. Dn. 29 maja Lwów obchodził 250-letni jubileusz tutejszego uniwersytetu; dzień ten zakończony został wielkim pochodem manifestacyjnym przez miasto ku uniwersytetowi, w którym 30,000 osób wzięło udział.

Ludwik Kulczycki.

Kołłątaj jako ekonomista.

O systemie ekonomicznym Hugona Kołłątaja mówić nie można. Trudno nawet wykazać ścisłą jego przynależność do któregokolwiek z przyjętych w Polsce pod koniec XVIII w. systemów ekonomicznych. Nie ulega przecież wątpliwości, że systemy te znał i teorje każdego zużytkować potrafił, ilekroć chodziło o oparcie na nich reform przeprowadzanych w kraju. Mówimy tu o kameralizmie i fizjokratyzmie, z których jak udowodnił Stanisław Grabski[1], Staszyc i Kołłątaj nowe tworzą syntezy, włączając do nich pierwiastki etyczne i państwową myśl polską.

Fizjokratyzm filozoficzny umysł Kołłątaja najsilniej pociągać musiał przedewszystkiem dla tego, że zgadza się on z poglądem Quesnaya na prawo natury, jak i z tego powodu, że fizjokratym padał w Polsce na grunt pobrze przygotowany, jak udowodniają prace Korzona, Grabskiego, oraz hypoteza Hüppego, który genezę fizjokratyzmu z polskich wyprowadza stosunków. Fizjokratyzm miał zresztą w Polsce współczesnej Kołłątajowi, umiejętnych adeptów i kontynuatorów w osobach ks. Popławskiego, Garyckiego, Hieronima Stroynowskiego i in. Przemawiała za nim wreszcie budowa społeczeństwa szlachecko-rolniczego, jego sympatje i przekonania. Fizjokrata szedł po drodze najmniejszego oporu, a taki wzgląd był niewątpliwie dla praktycznego polityka bardzo ważnym.

Z drugiej jednak strony błędy ustroju gospo-

[1]) Zarys rozwoju idei społeczno—gospodarczych w Polsce s. 141 i in.

darczego Polski wynikały w znacznej części z poniżenia miast, zaniedbania przemysłu, upadku ludności. Podnosić znaczenie wyłączne rolnictwa, jako jedynego twórcy nowych wartości, byłoby schlebianiem zakorzenionym przesądom. Przeciwnie uwydatnić należało konieczność i gospodarczą wartość przemysłu oraz wydatność gospodarczej pracy poniżonych warstw ludności. Kołłątaj przeto musiał być eklektykiem, a nawet więcej, wyrzec się musiał jednolitego systemu, o ile pisma jego[2]) oddziałać miały zapładniająco na życie ekonomiczne kraju.

Uznaje przeto K. teorje fizjokratów w zasadzie. „Układ ekonomistów sprawiedliwy jest, powiada, gdy go przystosujemy do odradzających się bogactw i do masy, która perjodycznie za pomocą łożonych kosztów przychodzi do konsumcji". Kołłątaj zowie ziemię „jedynym bogactw skarbem", a rękę człowieka „kluczem". Nad tą „rękę względnie masy bogactw nic droższego niemasz". Ziemia i człowiek są przeto źródłem bogactwa, a o liczną ludność starać się trzeba, jeżeli chodzi o zwiększenie dochodu. K. wie, że nietyle znaczy masa ludności, co jej skład, bo starcy i dzieci nie mogą tworzyć bogactwa, natomiast praca czynnej ludności może być wydajną po nad własne spożycie.

Pomimo uznania dla pracy rolnej i przekonania że z powiększeniem ludności wyższy dawać może dochód, polityk nasz dostrzega przecież, że wielekroć „czysta intrata" z przemysłu i handlu więcej przynosi, niż z roli. Porównywując koszt narzędzi i materjałów z ceną produktów przemysłu dochodzi do wniosku, że „ręka ludzka oprócz tych wszystkich łożonych kosztów na zakład, materjał i wyżywienie rzemieślnika, wzięła nieobojętną nadgrodę, albo, że podług języka ekonomistów powiem, przyczyniła gatunku rzeczy, a zatem nowego bogactwa". Jest zatem K. na drodze do uznania, że praca, nietylko ziemia, tworzy nowe wartości. I tu występuje problemat jaskrawej niezgody z systemem fizjokratów, z którego wychodzi bardzo cennym ekonomicznym twierdzeniem: „Rękodzieła nie powiększają masy reprodukcji, ale jej szacunek".

Przetłomaczywszy to twierdzenie na język dzisiejszej nauki otrzymamy teorję, że wprawdzie *materjał* dóbr gospodarczych pochodzi jedynie z produktów gruntu, ale na jego *wartość* składają się siły ziemi i praca człowieka. Niewątpliwie żałować należy, że K. teorji tej nie rozwinął, zwłaszcza, że idzie on jeszcze dalej. Powiada bowiem ze to wzmożenie wartości różnym być może, zależnie od „łożonych na rzemieślnika wydatków", to zn. że z podniesieniem płac zarobkowych wzmódz się może intensywność i wydajność pracy.

Wzorem fizjokratów dzieli K. naród na trzy klasy: właścicieli ziemskich (ziemską), włościan (rolniczą), mieszczan (nierodzajną). Żaden stan, powiada, tak ściśle z ojczyzną nie jest związany, co właściciele ziemi, oni zatym krajem rządzić powinni. „Niech będzie najbogatszy w ruchomy majątek i miljonami obsypany człowiek, nie godzi się go przypuszczać ani do obrad, ani do rządu Rzpltej, jeżeli nie jest właścicielem gruntowym. Dla takowego, dosyć jest swoboda i wolność, dosyć zostawać pod opieką praw wolnego narodu, a choćby był najozdobniejszymi szlachectwa przyodziany tytułami, nie może sobie przywłaszczyć powagi majestatu rządowego, bo nie jest najbliższym z ojczyzną spojony węzłem, bo nie ma w niej własnej swej ziemi". Wprawdzie oportunizm polityka każe K. dać udział w rządzie kapitalistom, którzy mogą opłacać 500 złp. podatku, ale to wyraźne ustępstwo na rzecz dochodów krajowych z teorji nie wypływa.

Natomiast szczerym jest, mówiąc, że właścicielem prawdziwym jest ten, co ziemię dziewiczą zamienił pierwszy na uprawną, a nie ten najeźdźca, co mu ją wydarł. Wynikałoby z tego, że przedewszystkiem włościanie powinni mieć udział w rządzie, ale ci nie byli właścicielami.

Dla podniesienia handlu i przemysłu K. radby je zupełnie oddzielić od rolnictwa, a drobne miasteczka zamienić w wioski targowe. Rozumie znaczenie wielkich miast. Pragnąłby przeto zmniejszyć liczbę miast, powiększyć liczbę mieszkańców, stwarzając im wszelkie udogodnienia i nadając prawo tworzenia oddzielnej izby sejmowej, a jednocześnie odjąć prawo nabywania gruntów dla celów uprawy. Przegląda tu dążenie do oświeconego absolutyzmu, ale poglądy powyższe dogadzały snać miejskiej ludności, która reformę miejską, przeprowadzoną według wskazówek K. z zadowoleniem przyjęła.

Zajmuje się również K. szczegółami administracji; żąda np. rewizorów drogowych, portowych, dozoru wag i miar, karczem i domów zajezdnych. Pragnie urządzić poczty, asekurację, uregulować wybieranie podatków. Rozumie też, że podstawą administracji powinna być miara i liczba. „Najpierwszą robotą w układzie politycznym rządu, powiada, jest znajomość rozległości ziemi i ludności mieszkańców".

W kwestji podatków przychyla się K. do teorji fizjokratów, ale niezupełnie się z nimi zgadza: Nie człowieka, który może być obywatelem całego świata, ale grunta opodatkować należy. Podstawą podatku powinny być potrzeby kraju, ale nie kaprysy rządu, oraz maksyma ukrytego wyzysku, stosowana przez kameralistów. Nie uważa też za słuszny jednakowego podatku wobec bogatych i ubogich. Opodatkowaną winna być czysta intrata. Kto wie czy nie rozumiał tu dochodu, pozostającego po odtrąceniu kosztów utrzymania, które opędzano bezpośrednio produktami gruntu. Podatek 10-ego grosza od czystego dochodu przynieść miał 24 miljony złp.

Poglądy powyższe rozproszone wśród dyskusji politycznej, składają jednak całokształt spójny, głęboko pomyślany, którego nie wadą, ale zaletą jest niemożność włączenia go do żadnego z zagranicznych systemów ekonomji.

Jan Weylepp.

[2]) Ekonomiczne poglądy Kołłątaja poznać można z 3 dziełek zatytułowanych: Do Stanisława Małachowskiego, Referendarza Koronnego o przyszłym sejmie Anonyma listów kilka z 1788 r., oraz z historycznych mów sejmowych.

W zaborze pruskim.

Niezadowolenie z krytyki. Oszustwo pod maską patrjotyczną. Kwiatki taktyki „Koła Polskiego"

Głosy krytyczne o społeczeństwie polskim pod berłem pruskim, rozlegające się coraz częściej w prasie zakordonowej, wywołały dość wielkie oburzenie na gruncie poznańskim. Zwłaszcza pesymistyczny artykuł Aleksandra Świętochowskiego w *Kulturze Polskiej* nie spodobał się menerom poznańskim. Zwietrzyli oni w nim, naturalnie, intrygę... żydowską. Narodowo-demokratyczny *Kurjer Poznański* oświadczył poprostu, że

krytykowanie poznańczyków wypływa ze złości o to, iż dają oni sobie radę bez żydów i wypierają ich ostatecznie z kraju. To ostatnie nie podoba się zżydziałemu społeczeństwu w Królestwie, więc pozostaje nagonka na biednych poznańczyków, którzy przecież powinni tylko być uważani za wzór dla innych odłamów społeczeństwa polskiego. Przecież nawet uczonym ekonomistom niemieckim imponuje ta sprawność i umiejętność, z jaką społeczeństwo zaboru pruskiego gromadzi coraz wyższą ilość marek w swoich kasach. Przecież nawet rząd pruski nie może ukryć przerażenia z powodu przechodzenia ziemi z rąk niemieckich w polskie...

I przeciętny poznańczyk, wskazując na te fakty, jest szczerze przekonany, iż złożywszy swe oszczędności w banku polskim lub kupiwszy majątek od Niemca, już spełnił wszystko, co mu obowiązek obywatelski i patrjotyczny nakazywał. Choć w pierwszym wypadku zrobił tylko dobry interes finansowy, bo otrzymuje w polskim banku wyższy procent niż w niemieckim, a w drugim wypadku — coraz częściej popełnia zwykłe oszustwo udekorowane szyldem patrjotycznym. Warto się przyjrzeć nieco bliżej tej „ekspansji" o której tak głośno mówią poznańczycy i nad którą tak rozpaczliwie łamią ręce hakatyści i rządowcy.

Nie ulega wątpliwości, że w tych warunkach, w jakich się odbywa walka narodowościowa w zaborze pruskim ziemia jest czynnikiem pierwszorzędnej doniosłości. To też każdy kawałek jej podstawy narodowej Polaków, przechodzący w ręce niemieckie prywatne czy też rządowe — wytwarza szczerbę dotkliwą w ogólnym zasobie społeczeństwa polskiego. Tak samo wykupienie kawałka ziemi z rąk niemieckich jest czynnikiem dodatnim w walce narodowościowej, albowiem umacnia terytorjalną podstawę polskości. Ale dodatniość tego czynnika zależy najzupełniej od tego, gdzie odbywa się owa tranzakcja. Dobrze jest, jeśli Polak wykupuje z rąk niemieckich majątek w Poznańskiem, jeszcze lepiej, jeśli taki wypadek zachodzi w Prusach Zachodnich, gdzie przewaga własności niemieckiej zbyt dotkliwie daje się we znaki ludności polskiej. Okupywanie się Polaków na Górnym Śląsku lub na Mazowszu pruskim posiada jeszcze wyższe znaczenie, ponieważ powoduje wytwarzanie się wśród mieszcowych mas ludu, pozbawionego zupełnie inteligencji, przekonanie, że Polacy—to nietylko chłopi i robotnicy, ale i tacyż sami „panowie" jak Niemcy. Powstanie polskiej własności ziemskiej na Mazowszu albo na Górnym Śląsku, ma w ten sposób doniosłość narodowo - agitacyjną. I nie można mieć za złe poznańczykom, że, robiąc bardzo dobre interesa na wykupowaniu majątków z rąk niemieckich, uważają tę swoją działalność za bardzo pożyteczną ze stanowiska narodowego.

Ale trzeba podnieść fakt, który ciż sami poznańczycy usiłują przemycić pod chorągiewkę patrjotyczną, a który nic wspólnego z patrjotyzmem niema. Oto od dłuższego już czasu pisma poznańskie i zachodnio pruskie umieszczają tryumfalne notatki o wykupowaniu ziemi niemieckiej przez obywateli ziemskich Polaków poza polskim obszarem etnograficznym. Dowiadujemy się np. że p. X. kupił majątek ziemski w takim okręgu Prus Wschodnich lub Dolnego Śląska, gdzie wcale niema Polaków. Z narodowego punktu widzenia jest to bądź co bądź fakt przykry, świadczący o emigracji z obszaru polskiego na obszar niemiecki polskich obywateli ziemskich. Tymczasem prasa poznańska każe nam się i z takich faktów cieszyć, jak gdyby były one równoznaczne z wykupieniem ziemi z rąk niemieckich pod Gnieznem, w Tucholszczyźnie, na Warmii, w Kluczborskiem. Że rząd pruski dla osiągnięcia celów agitacyjnych, dodaje sumy utraconych przez Niemców hektarów ziemi po za obszarem polskim do wykupionych przez Polaków na tym obszarze, to rzecz całkiem zrozumiała. Ale dla polskości kupienie majątku przez Polaka pod Królewcem lub Wrocławiem ma takież same znaczenie jak nabycie dóbr na Krymie albo w Kanadzie. Tymczasem poznańczycy chętnie się i takimi nabytkami chlubią i żądają za nie uznania.

Niestety, kierownicy społeczeństwa polskiego, w zaborze pruskim, coraz rzadziej będą się spotykali z uznaniem rodaków zakordonowych. Można bowiem uwzględniać niezmiernie ciężkie warunki, w jakich zmuszeni są działać politycy polscy zaboru pruskiego, jednakże niepodobna zamykać oczu na te objawy ich taktyki, które musza wprost oburzać najwzględniejszych. Oto np. świeżo posłowie polscy w sejmie pruskim dopuścili się czynu, w żaden sposób nie dającego się wytłómaczzć, ani usprawiedliwić.

Chodziło o stosunek sejmu pruskiego do wystąpienia posła socjalistycznego Borhardta, który w sposób nadzwyczaj energiczny ujął się za Polakami podczas obrad nad nowym projektem antypolskim. Wystąpienie to doprowadziło do niesłychanych gwałtów junkiersko-hakatystycznej większości sejmu, do wtargnięcia policji i do usunięcia przemocą dwóch posłów socjalistycznych. Większość hakatystyczna popełniła gwałt, zaiste godny tej karykatury parlamentu, jaką jest trójklasowy sejm pruski. W całych Niemczech zawrzało. Wszystko, co nie stoi na usługach junkrów i czarnej międzynarodówki, jednogłośnie potępiło brutalny gwałt marszałka. Poseł Borhardt wnosi do sejmu protest przeciwko swemu wykluczeniu. Nad tym protestem ma się odbyć głosowanie bez dyskusji. Cóż więc naturalniejszego nad zaprotestowanie przeciwko gwałtowi większości hakatystycznej nad posłem, stającym w obronie Polaków? Nikomu na myśl przyjść nie mogło, że „Koło Polskie" powstrzyma się od tak wdzięcznej sposobności zaznaczenia swego stanowiska wobec systemu ohydnego prusactwa. Tymczasem „Koło polskie" postanowiło odegrać rolę Piłata i umyć ręce. Wprawdzie nie przyłączyło się tym razem do zwartego bloku reakcji, który najczęściej popiera, ale też nie ośmieliło się głosować razem z socjalistami i Duńczykami i powstrzymało się od głosowania. Mocno należy wątpić, czy taktyka podobna przysporzy „Kołu polskiemu" zwolenników przy najbliższych wyborach...

Obserwator.

BADANIA NAUKOWE.

Kardynał Mercier i jezuita Tyrrell.

5)

(Dokończenie).

W innym rozdziale *The moral root of the conflict* (moralne przyczyny starcia) Modernizmu ze Średniowieczem, autor twierdzi, że szukać ich należy bardziej w życiu, niż w umyśle, że w mniej-

szym stopniu jest ono wynikiem sporów o prawdę, niż szczerości wewnętrznej i zewnętrznej w przedstawieniu tej prawdy. „Moderniści, pokładający całą swą nadzieję w rozpowszechnianiu prawdy, pracują na marne, jeśli nie rozpoczynają od rozbudzenia w ludziach poczucia potrzeby szczerości; zapierają się swego immanentyzmu, jeśli zaniedbują odrodzenia moralnego, poprzestając na umysłowym. Na co bowiem przydać się może wymiecienie śmieci i zdjęcie pajęczyny, nagromadzonych przez wieki w domu bożym; — oczyszczenie liturgii z baśni i legend; — unoszenie się radością wskutek różnych odkryć historycznych, — wykazywanie fałszerstwa w dekretaliach i w relikwiach czczonych; — odrzucenie wszelkich kłamstw, nazbieranych w pobożnych celach przez naszych przodków; ku czemu doprowadzi wykorzenienie nawet zupełnie niezliczonych bredni i bałamuctw; na co to wszystko, jeśli pozostanie w nas ten sam duch, który już raz to wszystko wytworzył? W przeciągu krótkiego czasu, nim zejdzie z świata jedno, drugie pokolenie, dom zamieciony, oczyszczony i uzdrowiony, na nowo zakażonym się stanie...

„Duch Prawdy tylko nieomylnym być może stróżem Prawdy..."

Nakoniec natrafiamy na słowa, z których żywy ból się przedziera, słychać jakby echo łkania rozpaczliwego, któremu wtóruje jęk prośby błagalnej: „Czyż to możebne, żeby Kościół, którego legiony męczenników, świętych, myślicieli, mędrców wytworzyły z tego, co było w nich najlepszego; który użyźniały krwią, z ich serc wypływająca, utrzymywały trwożliwą prace swego umysłu, żeby ten Kościół stał się typem bezbożnej i egoistycznej biurokracji? Czyż to możebne, żeby już nie mógł brać żadnego udziału w pracy dziejowej, żeby utracił swe miejsce w świecie nowym, jaki powstaje; — w świecie, który pragnie żyć, uczuwa konieczność dla życia ożywczego natchnienia, pochodzącego z ducha bożego, który przez ów Kościół miał na świat spływać?...

„A to dla tego wyłącznie, że dozwolił swoim niemowlętom ginąć z pragnienia, odjął od ust maluczkich podawany im ongi kęs chleba. A tymi niemowlętami, tymi maluczkimi są miljony wychowańców naszej współczesnej cywilizacji, które błądzą wycieńczone, jako owce strwożone po utracie swego pastucha. Albo też dla tego, że z zamiłowania do łachmanów szkarłatnych, martwej oznaki dostojeństwa przez wieki liczne przeżytego, zapomniał o swej istotnej chwale, otoczył się, niby w warowni murem z kamieni i żelaza, zwęził do ostateczności szerokie niegdyś dostępy do siebie i z religii, wielkiej jak świat, obszernej jak serce Jezusa, stał się sektą drażliwą, jak żadna inna, pysznią̨ca się swoją wyjątkową nietykalnością i niedostępnością"...

W żalu do Katolicyzmu wypowiada zarzuty swe Protestatyzmowi: „Pomimo głębokiego poważania dla wielkich prawd i zasad, które broni Protestantyzm, ja się czuję zmrożonym, nie znajdując w nim dość czułości na nędzę ludzką, a również jego twardą powagą, jego racjonalizmem nieubłaganym. Wystarcza on dla połowy, może nawet lepszej, duszy, lecz drugiej — pozwala umrzeć z głodu. Religja ogółu ludzi powinna być z konieczności religją całego człowieka, katolicką, to jest, powszechną, zarówno co do wnikania w głąb, jak obejmowania w szerokość..."

I zamyka swą odpowiedź kardynałowi tym wyznaniem: „...chcę dalej wierzyć w zmartwychwstanie zmarłych, chcę i na dal nie rozstawać się z marzeniem (I willil dream my foolisch dream), że nastanie, nawet niedaleki, dzień, kiedy ludy katolickie, przedstawiane przez swoich biskupów i swojego papieża, zgromadzą się nie dla rozwiązania zagadnień teologicznych, etycznych i politycznych „pod groźbą wiecznego potępienia", lecz w celu ogłoszenia Królestwa bożego na ziemi, jak ono było głoszone przez Jezusa, w celu uchwalenia jedności w rzeczach istotnych wagi, wolności, w mniej istotnych, miłości — we wszelkich (unity in essentials, liberty in non essentials, charity in all things)".

Na końcu *Odpowiedzi* widzimy datę: Maja 17-go, 1907. Na końcu Przedmowy do ostatniego dzieła: *Christianity at the Cross-Roads* czytamy: 29-go Czerwca, 1909.

W niespełna miesiąc po umieszczeniu na rękopisie tych kilku wyrazów Tyrrell już nie żył. Umarł 15-go lipca, tegoż, 1909 roku.

Chociaż Tyrrell nie był dotknięty klątwą większą (excommunicatione majore), więc na nim nie ciężył wyrok, że przez wszystkich ma być unikany (vitandum esse atque ab omnibus vitari debere), jednakże jeden tylko ksiądz katolicki, Henryk Brémond, też jezuita i też w takim pozostający stosunku do władz kościelnych jak i umierający, przybywszy umyślnie z Francji do chorego, przy umierającym się znajdował. Biskup z Southwark, Amigo, nie pozwolił pogrzebać zmarłego na cmentarzu katolickim, ani też po zmarłym odprawiać właściwego nabożeństwa.

Oto jaki znalazłem opis pogrzebu: „na ulicach wioski Storrington (gdzie przebywał i umarł Tyrrell) z podziwem patrzono na orszak żałobny. Znamionowało go niezwykła prostota i rzadko spotykany nastrój uroczysty. Bez komży, bez stuły, w odzieży pospolitej kapłanów katolickich, na czele jego szedł ojciec Brémond, obok niego William Tyrrell, krewny zmarłego, i baron Hügel, jedyny przyjaciel. Na noszach trumna przez czterech dźwigana grabarzy. Orszak postępował w kierunku cmentarza anglikańskiego".

I. Radliński.

KRYTYKA.

August Strindberg.

Ur. 1849 um. 1912.

Wyobraźmy sobie Strindberga w epoce, kiedy był mocno krwisty i pełen temperamentu, między trzydziestym a pięćdziesiątym rokiem jego życia, poczynając od ukazania się „Czerwonego pokoju" aż do „Inferna". Postępuje on w ten sposób: Staje w pewnym środowisku, jako aparat niezmiernie czuły, chwytający zarówno szmery, jak odgłosy trąb. Przypatruje się zadowolonym twarzom, frazesom toczącym się gładko, cnocie, która samej sobie wydaje się pewną i niesfałszowaną, nagromadzeniu iluzji, które uchodzą za księgę mądrości narodowej. Nasyca się tym wszystkim, aż w końcu wybucha gniewem. Zaprzecza wszystkiemu w zdaniach gwałtownych, spiżowych, paradoksalnych, męzkich:

„Blague, blague". Narzeczeni, miłość, Neapol, przyjemności życia, przyszłość, współczesność, liberalizm, zachowawczość, idealizm, realizm, naturalizm, — blague, blague! od początku do końca!"

Wojna wszystkiemu i wszystkim!

Strinberg oddycha najgłębiej i najrozkoszniej, gdy dyszy zapałem walki. „Rzecz konieczna iść naprzód tylko drogą przeczenia, nie czynić wniosków pozytywnych, — to niedorzeczność. Znieść stare prawa, dać wolność — niech nowe siły działają!"

Jego gwałtowna wola parła go przez całe życie w różnych kierunkach i do różnych zaprzeczeń. Był wolnomyślnym, ateistą, prawowiernym, socjalistą, nietzscheanistą, mistykiem. Pisze o sobie: Przypuśćmy nawet, że stanę się znowu religijnym, jestem z góry przykonany, że za lat dziesięć wykażę nicość religji". Dla Strindberga nie tyle charakterystyczną rzeczą jest to, w co wierzył, ile nieustanny nurtujący go niepokój i wspaniała gwałtowna rzetelność, z jaką się wypowiadał.

Pewne zjawiska społeczne działały nań jak kolor czerwony na byka. Jednym z takich była sprawa emancypacji kobiet. W jej postawieniu widział Strindberg tyle fałszu, żądzy samołudzenia się i zaślepienia, że podniósł na całą Skandynawię wrzask ostrzegawczy przeciw temu zamachowi na święte prawa mężczyzny. Z właściwą sobie otwartością sam się przyznał w dziesięć lat później (r. 1897), że dał się unieść szałowi walki i przestąpił granice przyzwoitości tak daleko, że rodacy uważali go za warjata.

Oto Strinberg: człowiek, który wyrzuca z siebie przekonania z gwałtownością i żarem wulkanu. Ta dążność do wypowiadania się najszczerszego i aż do głębi uczyniła z niego pisarza jednego z najokrutniejszych i najuczciwszych, a zarazem z tych, którzy nie boją się sprzeczności, gdyż wiedzą, iż przeświadczenie, że człowiek opanował żywioł w sobie i zmusił go do konsekwencji i ładu—jest przesądem. W ciągu kilkudziesięciu ostatnich lat wieku, który „zaczął się od Napoleona, a skończył na Dreifusie" był Strindberg jednym z najbaczniejszych ludzi epoki, rzucając się z nigdy nienasyconym głodem na każde nowe zagadnienie. Jego grzmiący udział w walce przeciw emancypacyjnej wciągnął go w sferę badań psychologiczno-literackich co do natury mężczyzny i kobiety, co do natury miłości i wpływów, jakim ulega dwoje ludzi, związanych ślubami. „Rozwieść się — powiada naprzykład — jest wcale nie tak łatwo, jak myślą ludzie, i wcale nie tak bezpiecznie. Kiedy żona zdradza męża, a on nawet nie wie nic o tym, to jednak czuje to telepatycznie i uczuwa chęć odebrania sobie życia Fakt, iż chce on umrzeć, zależy, widocznie, od tego, że dusza mężczyzny za pośrednictwem kobiety wchodzi w niedozwolony związek z poziomą sferą innego mężczyzny, a instynkt samozachowawczy duszy jest tak silny, że raczej woli ona umrzeć, niż się dać zabrudzić". Strindberg jest dość jeszcze rzadkim typem literata-artysty, który utrzymuje ciągły związek z postępami nauki. W jego utworach znajdą się rozprawy filozoficzne i ekonomiczne. Czasem zatrzymuje tok opowiadania, by zrobić krótki przegląd zdobyczy naukowych Mówi o turbinie parowej i o separatorze nabiałowym. Pewien redaktor, którego zmuszają, aby się podał do dymisji i ustąpił pola innemu, pogrąża się w smutne rozmyślania. „A więc — pisze o nim Strindberg — do dymisji, na śmietnik — jego, co brał udział w wielkich przewrotach materjalnych po 1850 roku. Wspomniał pierwszą drogę żelazną w 1850 roku; wspomniał zaprowadzenie telegrafu w 1853 r.; pierwszą latarnię gazową w 1854, pierwszą markę pocztową w 1855, a w dziewiątym dziesiątku lat był świadkiem pierwszego telefonu i lampki elektrycznej" Gdzieindziej zastanawiać się będzie nad tym, jak to „Historja chemji" pozytywisty Berthelota i „Powstanie elementów" Crokesa, dwie książki pisane w całkiem innych intencjach, wpłynęły ożywczo na zwolenników mistycyzmu, ponieważ w obu jest skłonność do uznawania za możliwą transmutacji—to jest przechodzenia jednego elementu w drugi, skutkiem czego chemja współczesna zbliżyła się do dawnej alchemji.

W jego dziełach roi się od zagadnień. Małżeństwo, wychowanie dzieci, religja, demokracja, kosmopolityzm, telepatja, mistycyzm, konferencja hagska, sprawa Drejfusa! Interesuje go wszystko, jak zapalonego publicystę, lecz przedewszystkim, być może, jako żer dla jego żądzy paradoksalności! (Tu warto zaznaczyć dobroczynny charakter paradoksu jako jedynego dziś środka, którym jeszcze się trafia do sumienia europejczyka!)

Posłuchajmy jak ten człowiek wypowiada swe myśli. „Żyjemy — mówi — w czasach przewrotnych, kiedy dobro nazywa się złem, a to, co małe — wielkim Kiedy trzej najwięksi szarlatanowie, sterylizowany Pasteur, niemuzykalny Wagner i tępogłowy Ibsen będą nareszcie zdemaskowani, wtedy wszystko wejdzie znowu we właściwą kolej. Kurza cholera, Zmierzch bożyszcz i Nora! Co za nędza! Rozwój materjalny posunął się naprzód, lecz życie umysłowe i duchowe cofnęło się.

Trudno znaleźć człowieka, który umiałby poprowadzić logiczną rozmowę. Kiedy, naprzykład, mówię, że mężczyzna faktycznie stworzył całą kulturę duchową i materjalną, to mi odpowiadają: nie, dlatego że Roza Bonheur malowała (marne) obrazy i otrzymała order Legji Honorowej, George Sand pisała (ubogie duchem) romanse, a Zofja Kowalewska znała matematykę (której się nauczyła od Weyerstrassa). Czyż napróżno uczyliśmy się w szkole logiki Arystotelesa? Ci zoolodzy boją się samicy. A może cześć dla kobiety — to ich zabobon? Ci ateiści muszą coś czcić, więc wytworzyli sobie ten zabobon". Kiedy w Szwecji

szerzy się kult dla przeszłości, chełpienie się tym, co było, a nie jest, rodzaj grzyba próżności, pleniącego się bujnie na cmentarzach — głos Strindberga mówi: „Żyjemy w dole, w mogiłach, z trupami, a teraźniejszość i przyszłość przechodzą tylko obok nas. Kto się obraca, aby spojrzeć na swe ekskrementy, ten musi zginąć". Z tą samą mgłą czerwoną na oczach mówi Strindberg o małżeństwie: Żądam zniesienia małżeństwa dla powodów moralnych. W łożu małżeńskim człowiek zatraca swą indywidualność, szacunek dla siebie i poczucie własnej swej godności. Sprzedaje on tam swą duszę, uczy się pomijać milczeniem wszystko. To grób, w który się kładzie stworzenie na podobieństwo Boże, a z którego wstaje zwierzę!

Dość tych przykładów, aby określić rzetelną, frenetyczną zapalczywość Strindberga jako zapaśnika. Na biedną protestancką Szwecję spadł prawdziwy grad kamienny. Czy nie zbyteczna jeszcze na tym miejscu dodawać, że już po pierwszych dziełach pobyt jego na ziemi ojczystej okazał się niemożliwym, że trzeba było unosić głowę za granicę przed oburzeniem i oszczerstwem, a ojczyzna wzywała swego syna marnotrawnego tylko wtedy, kiedy poważni ojcowie narodu mieli go sądzić. (Proces o bluźnierstwo z powodu „Małżeństw"). Lecz wymierzając z niepohamowaną zaciętością ciosy nalewo i na prawo, szydząc i ośmieszając — urzędników, wydawców, protegujących miernoty, dziwactwa religijne, gadulstwo sejmowe, sprzedajność i frazeologię dziennikarską, oszustwa kupieckie i przemysłowe, humbug dobroczynności, uprawiany przez rozpróżniaczone damy wyższych warstw towarzyskich, zawieszoną w powietrzu etykę płciową — Strindberg po dwunastu latach takiej walki sam uczuł znużenie. Uczuł się poranionym gwałtownością własnego temperamentu. Tu się zaczyna przełom, który otworzył przed nim nowe widnokręgi.

„W połowie drogi mego życia usiadłem, aby wypocząć i rozmyślać. Wszystkie najśmielsze życzenia, o których ledwie marzyć miałem odwagę — osiągnąłem. Syt hańby i chwały, zarówno jak rozkoszy i bólu, zadawałem sobie pytanie: cóż teraz?

„Wszystko powtarzało się z morderczą jednostajnością, wszystko było do siebie podobne, wszystko wracało na powrót.

Powiadali starzy: świat niema już żadnych tajemnic. Znaleźliśmy rozwiązanie wszystkich zagadek, rozwiązaliśmy wszystkie problematy.

Pokolenie, które miało odwagę skasować Boga, a państwo, kościół, społeczeństwo z ziemią zrównać, to samo pokolenie uchyliło kornie czoła przed wiedzą. I tu w dziedzinie wiedzy, gdzie panować winna bezgraniczna wolność, tu właśnie rozległo się hasło: wierz w powagę lub giń.

Przyszedłem stąd do wniosku, że niema co robić na tym świecie — i postanowiłem, jako bezużyteczny zejść z widowni.

Potym Strindberg opisuje, jak chciał się otruć:

„Z tygla poczęły wydobywać się gazy i ścisnęły mi gardło, jak dyfteryt albo trucizna beztlenowa, wysączona z trupów. Mięśnie ramieniowe poczęły tracić władzę i dostałem kłucia w słosie pacierzowym.

Przerwałem operację, gdy rozchodzić się zaczął zapach jakby gorzkich migdałów. Wydało mi się, że patrzę na kwitnące drzewo migdałowe, rosnące nad ścieżką ogrodową i że słyszę głos jakiejś niemłodej kobiety. A głos ten mówił: „Ja przecież w to nie wierzę, moje dziecko!"

I nie wierzyłem odtąd, że zagadka świata jest odkryta, lecz już to sam, już z innym zacząłem rozmyślać nad wielkim bezładem, aż w końcu odkryłem w nim nieograniczoną konsekwencję".

W ten sposób otworzyła się droga przed Strindbergiem mistykiem i marzycielem. Zaczął uprawiać dziedziny, które dotąd leżały w nim odłogiem. Zamiast jasnego dnia i słońca, z jego okrzykami walki i rozpłodu, otoczyła go melancholijna noc z gwiazdami, świadkami odległych światów i nieśmiertelności.

Lecz ta sama zapalczywość, która kazała Strindbergowi polemiście rzucać się w najzawziętszy wir walki — porywa go teraz i wciąga niemal z zawrotną szybkością w lej coraz głębszy i ciemniejszy. W epoce pisania „Inferna" był Strindberg niewątpliwie już u granicy obłędu. Jego umysł stał się bardzo trwożliwy i podejrzliwy. Ogarnia go mania prześladowcza. Widzi w sobie ofiarę potęg nieznanych a wrogich. Nękają go wyrzuty sumienia i naiwne zabobony. Cofa się z drogi ponieważ ogromny duński brylan ułożył się na chodniku — cofa się i dziękuje nieznanym potęgom za ostrzeżenie. To samo robi, gdy na progu domu, do którego ma wejść, ujrzał dziecko, trzymające w ręku dziesiątkę pikową!

Odtąd Strindberg logiczny, trzeźwy, jasno widzący, rozdzierający iluzje społeczne jak Samson paszczę lwią, łączy się i uzupełnia Strindbergiem, stąpającym po omacku, tęskniącym do przejrzenia tajemnicy życia i śmierci. Czy to uprawianie zaniedbywanej zrazu dziedziny i zdolności mistycznej wyszło na zło czy na dobro dziełu twórczemu tego pisarza? Bezwarunkowo na dobro. Otworzyło ono widok na perspektywę w głąb. Tęsknota mistyczna, wypędzana z dzieł trzeźwych filozofów, żyje w piersi człowieka i sięga zbyt głęboko, aby artysta mógł ją bez szkody dla siebie pomijać. Zresztą, dążąc do Boga, do przejrzenia tajemnicy życia i śmierci mistyk odkrywa po drodze fakty niewątpliwe, lecz pomijane dlatego, że są zbyt cudowne. (Naprzykład — obręb zjawisk telepatycznych, o których Strindberg powiada, że sceptyczni współcześni wierzą w telegraf bez drutu, lecz zaprzeczają zdolności dusz do komunikowania się na odległość).

Z wiekiem melancholja starości złagodziła nieco gwałtowny temperament Strindberga. Na kilka lat przed śmiercią wydał „Sonatę Widm" — rodzaj powieści udramatyzowanej, ciekawej dla krytyka ze względu na zmiany, jakie czas i misticyzm poczynił w tym tak krwistym dawniej pisarzu. Cały utwór tonie w szarym zmroku smutku, niedającego się niczym ukoić. Są w nim pewne dziwactwa i rzeczy zagadkowe, naprzykład parawan śmierci, który służący wnosi i rozstawia przed każdą osobą, mającą umrzeć śmiercią naturalną lub samobójczą. Nietzscheanizmu, pod którego wpływem stworzył Strindberg „Czandalę" i inne dzieła — tu nie czuć. Natomiast przenika utwór wiew romantyczny: potrzeby ugruntowania na ziemi człowieka sprawiedliwego, tęsknoty, by ziemia przestała być miejscem kaźni. W ostatnim akcie dramatu na kominie stoi posąg Buddy z kłączem hjacyntowym na kolanach. Strindberg tłumaczy, że ten głąbik hjacyntowy, z którego wystrzela łodyga, zakończona pękami kwiatów gwiaździstych, jest symbolem świata, z którego Budda nie spuszcza oczu, aby widzieć, jak ziemia staje się niebem.

„O ty dobry, cichy Buddo, który tu siedzisz i czekasz, kiedy z ziemi niebo wyrośnie, daj nam cierpliwość w doświadczeniach, daj nam czystość woli, aby nadzieje nasze nie były płonne i zawstydzone!"

Mówiąc o ciężarze życia, wyraził się Strindberg w swych „Komnatach gotyckich" w ten sposób: „Każdy człowiek, który doszedł do swej śmierci naturalnej, jest bohaterem; każdy nieboszczyk w rzeczywistości zasługuje na pomnik — tak ciężką męczarnią jest przeżyć życie". Nie mogę tembardziej odmówić tej nazwy zaszczytnej pisarzowi, który przez całe życie nie uląkł się opinii publicznej i w pogoni za prawdą zmieniał swe stanowiska, obnażał swe sprzeczności! Niezmienność tak zwanych przekonań i brak sprzeczności w człowieku jest, jak wiadomo, bożyszczem różnych stronnictw. One to rozwłócza po krajach przesąd, że niezmienność przekonań jest zaletą. One też na swe barki wziąć powinny odpowiedzialność za to, że pod wpływem nacisku społecznego człowiek staje się obłudny i ukrywa w sobie, naprzykład, śmierć swych przekonań, stojąc nieraz na czele tej grupy społecznej, która tych przekonań ma strzedz i bronić.

Leon Choromański.

Z teatru.

Z okazji występów gościnnych p. I. Solskiej wznowiono na scenie teatru Letniego dramat Ibsena „Dom lalek", zwany zresztą najczęściej „Nora" dla imienia bohaterki. Tytuł ostatni może wywołać nieporozumienie przy traktowaniu utworu scenicznie i wywołuje je, gdyż zarówno u publiczności, jak u artystek utarło się traktowanie roli Nory jako solowej, wirtuozowskiej, coś w rodzaju Cyrana de Bergerac w spódnicy czy Kordjana. Takie pojmowanie po pierwsze krzywdzi Ibsena jako dramatopisarza — artystę i wypacza cały charakter scenicznego ujęcia utworu. Wprawdzie Ibsen sam zamieszczał w tytułach swych dramatów imienia osób w nich działających („Jan Gabrjel Borkman", „Hedda Gabler", „Budowniczy Solness"), lecz tym nie miał zupełnie na myśli wysuwania tych osób przed inne, tworzenia z tych ról pola brawurowego popisu dla ich odtwórców, gdyż wysuwanie jednej osoby musi pociągać logiczne tuszowanie innych, musi dziać się z krzywdą dla samej sztuki, dla jej pełni. Wymienianie w tytule osoby działającej nie było u skandynawskiego mistrza chęcią zwrócenia uwagi widzów na postać samą, lecz na ten problemat, który rola ta reprezentowała. Nie może więc być mowy o solowych aktorskich przepisach w dramacie Ibsena, którego każdy sceniczny utwór wymaga takiego ustosunkowania się wzajemnego składających go czynników, by całość wytworzyła masowy zespół, konieczny *pełny* akord.

Każdy zaś dramat Ibsena we wszystkich swych scenicznych przejawach z dwu składa się elementów, tworzy przy przekroju analitycznym dwa jakby pokłady, które choć na całym przeciągu sztuki zmieniają jeden kosztem drugiego szerokości swych płaszczowin, lecz trwają zawsze obydwa przylegając ściśle jeden do drugiego. Pasami tymi są: zewnętrzne naturalistyczne ujęcie materjału scenicznego (t. j. postaci działających, wypadków fabularnych i t. z. „wystawy") i wewnętrzna allegoryczna transpozycja, głębszy sens tych postaci, wypadków i otoczenia. Dwa te elementy w rezultacie ostatecznym tworzą trzeci: twórczą, „anagogiczną", że użyję tu dantejskiego określenia, prawdę artysty, prawdę definjującą się nie obrazem sensualnie, lecz intellentualnie, myślą, — tezą.

Ten szczyt w „Norze" da się ująć w następującą ideę: cierpienie w życiu doczesnego człowieka jest elementem koniecznym, bo twórczym, tylko cierpienie wnosi nas wwyż, uszlachetnia; pogłębia, wypięknia. Ten widnokrąg, wiejący lodowym ponurym tchem północy, acz warzy w duszach widzów kwiat marzenia o pełni życia, li jako o radości lazurowej, słonecznej, lecz z taką nam siłą przez genjusz dramatopisarza jest narzucony, że milczeniem jakby zgody znakiem sankcjonujemy prawdę artysty.

Ze powyższa myśl jest szczytem „Nory", a nie idea emancypacji kobiety, jak pragnie naogół krytyka, dowodem służyć może fakt, że przedstawicielką kobiety człowieka jest jedna tylko postać w dramacie, a tezie o cierpieniu, które uszlachetnia, „uczłowiecza", właśnie odpowiadają wszystkie osoby w sztuce. Weźmy kolejno pod tym punktem widzenia stosunek autora (a więc i chęć działania Ibsena w tymże kierunku na widza) do osób dramatu.

Kiedy Nora wznosi się nad poziom kobiety-lalki, szablonowej dobrej mieszczańskiej żonki, kiedy traci upierzenie „kanarka" i urasta przed samą sobą do godności człowieka?—Gdy wszedłszy na drogę cierpień od obaw uległej połowicy przed gniewem małżonka począwszy, dochodzi do momentu rozbicia własnym czynem wszystkiego co do tej pory istotę jej życia stanowiło, gdy z zacisznego domowego gniazdka wychodzi bezpowrotnie na wędrówkę bytu samoistnego. Jakie osoby autor sam widocznie stawia wyżej od Nory i jej męża; komu współczuje? — Nieszczęśliwemu kalece bez win w bólach wegetującemu, zakochanemu w Norze doktorowi; przechodzącej przez

ciężką szkołę trosk Krystynie; pokutującemu za grzech młodości fałszerzowi cudzego podpisu. Dwojgu ostatnim autor współczuje do tego stopnia, iż nagradza ich niejako za ciężką przeszłość: dwaj ci znękani ludzie odpoczną w szczęściu pożycia wspólnego, on zakochany w niej oddawna posiądzie wreszcie cel swoich marzeń, ona istota w poświęceniu się lubująca, uczyni zadość potrzebie swego serca. Kto jest najniesympatyczniejszą osobą w sztuce?—Mąż Nory, człowiek, który do chwili katastrofy w dramacie nie cierpiał naprawdę, wybraniec szczęścia zrywający do tej pory kwiaty, gdy innym wokół ciernie się dostawały. Cierpienie krwawą wstęgą przewijające się przez dramat, snadź głównym jest jego twórczym elementem, gdyż i w przejawach swych skalę posiada olbrzymią. Jak świadomy środków artysta malarz chcąc użyć do obrazu w przemożnym stopniu farby jednego koloru rozkłada ją na tysiące odcieni, tak z zupełnie widocznym poczuciem celu rozszczepia w swym utworze Ibsen składnik cierpienia na mnogie odmiany od bólu czysto fizycznego do katuszy myśli. Ten więc jest szczyt utworu, ten jest najgłębszy akord. By zaś go wydobyć całkowicie, by istotę sztuki unaocznić, muszą dwa o których powyżej mówiłem, elementy,—zewnętrzny naturalizm i allegorja tegoż wewnętrzna, - najstaranniej być przeprowadzone przez cały przeciąg akcji, musi być przytym dokładnie w każdym momencie zachowana wzajemna ich proporcja. A jest przewaga elementu zewnętrznego w początkach akcji, a wewnętrznego w momentach zwrotnych i zakończeniu. I tu przechodzę do właściwego życia utworu: do tworzenia go na scenie, do wizji reżysera w myśl aktorskich koncepcji.

Jak więc należy wystawić i grać „Norę" Ibsena?

Opierając się na powyższych wytycznych, co do dekoracyjnej strony orzec można: autor umiejscawia akcję w jednym pokoju, zewnętrznie w salonie małżeństwa Hollmerów; salon tedy ów po za obrazem swym zewnętrznym musi dawać wrażenie alegorji tego miejsca, gdzie się odbywa dramat, jak mieszkanie daje zwykle pojęcie o człeku, który je zajmuje. Musi więc scena pozornie zrazu miła i zaciszna posępniec w miarę rozwoju akcji. Droga jest nawet wskazana, daje ją oświetlenie. Od połowy drugiego aktu krwawe światło z kominka; trzeci skonstruować bardzo łatwo, gdyż odbywa się w nocy. Dobór kolorów, układ i kształt mebli patrząc pod kątem wewnętrznym sztuki sądzę, iż nie trudnym jest do zdefiniowania dla twórczej reżyserskiej myśli. Nie przeładowywanie naturalistycznymi szczegółami, lecz operowanie tym, co jest koniecznością naprasza się przytym całkiem logicznie.

Tenże wzgląd na dwa elementy sztuki wpływać musi na charakterystykę i grę aktorów, widocznym być musi w dykcji, gestach i mimice. Każdy moment tak ukonstruowanym być winien, by jego podwójność dała się wyczuwać przez widza. Naturalny bieg zdarzeń i tok słów i ich sens wewnętrzny musi być uwidoczniany w stosunku do osób których dotyczy i do sztuki samej. Weźmy choć jeden moment. W połowie trzeciego aktu Nora z mężem wraca z balu maskaradowego, ma na sobie kostjum wieśniaczki włoskiej; z racji zdarzeń sztuki postanawia zerwać z życiem dotychczasowym i opuścić dom męża, stać się innym człowiekiem. Za chwilę powie to mężowi, teraz zaś idzie się przebrać w ubranie zwykłe. „Noro, co robisz?"—pyta za sceną mąż. „Zmieniam kostjum", — brzmi ważka dwuznaczna, sądzę, odpowiedź. Jak więc ma być dana, czy zwykłym tonem małżeńskiej konwersacji, jak to uczyniła p. Solska, czy też słowa powinny paść z echem sensu głębszego?

Nie będę dotykał gry artystów, gdyż rozmijała się z zakresem sztuki za wyjątkiem tylko osoby p. Brydzyńskiego, który dał iście ibsenowską, plastyczną a głęboką kreację, twórczą w każdym drgnieniu i słowie. Dzięki p. Brydzyńskiemu zadrgał też potężnie jeden moment zwrotny w sztuce i wtrącił duszę widza w ponurą przepaść dramatu. Był to moment, gdy doktór wiedząc o rychłej a nieodwołalnej dla siebie katastrofie paraliżu, który powali go na łoże zgonu, przychodzi pożegnać się po raz ostatni w życiu z Norą i jej mężem. W chwili tej zwykły grymas bólu człeka chorego, wykrzywiający mu usta i obnażający biel zębów, nabrał głębokiego profetycznego znaczenia. To w głębi spomroczniałej sceny śmierć sama stała i szczerzyła ku nam zęby w trupim uśmiechu: dramat zawibrował całą pełnią dwutonu.

Kazimierz Wroczyński.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

*** W kwietniowym zeszycie *Przeglądu Narodowego* pomieścił p. Zygmunt Balicki osobliwy artykuł o apolitycznym wpływie żydów na nasze społeczeństwo i szczególnie młodzież; między innymi, kierunek t. zw. niepodległościowy nazwał „polskim sjonizmem":

Poczynając od nazwy, do której ucho polskie odruchowy wstręt czuć musi, wszystkie jego cechy umysłowo-polityczne zdradzają wpływy duchowe żydowskie, jedno tylko uczucie patryjotyczne, pierwotne zresztą i młodzieńcze, ale szczere, pozostało polskim.

Było to z jednej strony zadużo, aby zdanie p. Balickiego przemilczeć, z drugiej jednak, zamało, aby „Myśli nowoczesnego Polaka" wzbogacić nową perłą narodowo-demokratycznej syntezy. *Głos Warszawski* przez dłuższy czas nie wiedział, co ma z tym fantem zrobić. Na wszelki wypadek nazywał od tej pory Stowarzyszenie młodzieży Lwowskiej „Życie", żydowsko-socjalistycznym Życiem, i odchylając nieco strzałkę rzeczywistości „mianował" jego prezesem p. Loewensteina, ale milczał, póki się tylko dało, to jest dopóki *Tygodnik Polski* nie zakończył cyklu artykułów p. t. „Dzisiejsza młodzież", które omawiają przedewszystkim rozłam w obozie młodzieży narodowej.

Tygodnik Polski nie posilkuje się wzorem p. Balickiego argumentami natury „socjologicznej":

Młodzież wobec praskich i nie-praskich czułości zajęła stanowisko krytyczne, a nawet wrogie, także same wobec zamiarów wstąpienia na drogę zdobywania korzyści na drodze „ustawowej". Nic przecież tak nie zachwiało wiary do starszych, jak najbliższa sercu młodzieży sprawa, złączona z historją jej głównych wysiłków t. j. sprawa szkolna.

I młodzież zaczęła szukać nowych dróg:

W dążności podobnego tworzenia młodzież nie pozostała w tyle za społeczeństwem, owszem starała się prześcignąć starszych, pomna, że i kierunek „interesu narodowego" zrodził się na ławach uniwersyteckich. Nowe „ideologje", nowe „progra-

my", którym dziś młodzież hołduje, a które wniosły w jej koła pierwiastek wzajemnej walki, cieszą się szczupłą liczbą wyznawców.

Są to chwilowe efemerydy, które mogą kiedyś posłużyć historykowi do stwierdzenia, że w czasie naszym wielu ludzi szukało wyjścia z rozpaczliwej sytuacji.

Odgłosy te, pochodzące z obozu niezaprzeczenie „narodowego", zniewoliły *Głos Warszawski* do przeprowadzenia samodzielnych badań nad przyczyną wymykania się młodzieży z pod wpływu nauczycieli w rodzaju p. Balickiego, z nakoniec udało mu się stwierdzić, że: „Pokolenie naszej młodzieży jest coraz bardziej suche duchowo, coraz mniej zdolne do entuzjazmu:

...źródło widzieć trzeba w niereligijnym lub formalistycznie religijnym — co na jedno wychodzi — wychowaniu dzieci w naszym społeczeństwie w ostatnich jego pokoleniach. Religja, gdy jest żywa, rozwija w dziecku zdolności mocnego wierzenia, uwielbienia, umiłowania, bezinteresownego zapału, słowem, wyższe zdolności moralne, które później człowiekowi pozostają i są kierowniczymi siłami jego życia, nawet wtedy, gdy utraci wiarę w to, w co go uczyła wierzyć.

I dziwić się potym, że młodzież wyznaje ideje, budzące odruchowy wstręt w polskim uchu p. Balickiego, gdy prawdy przez niego głoszone, wymagały „zdolności mocnego wierzenia i bezinteresownego entuzjazmu"!

*** W artykule o „Dzieciach" B. Prusa, na łamach *Tygodnika Ilustrowanego* p. Ludwik Straszewicz pisze co następuje:

Rodzina to najważniejsza ostoja naszego bytu. Rewolucja uderzyła w nią zapalczywie, namiętnie jak we wroga i niewątpliwie osłabiła jej powagę. Nie mogła jednak dokonać całkowitego zniszczenia. Gdziekolwiek rodzina zachowała siłę i spełniła powinność, tam dzieci uratowano.

Dziwne wrażenie sprawiają wywody naszych konserwatystów, zwłaszcza, gdy porzuciwszy dziedzinę niebezpieczeństw urojonych, wglądniemy w rzeczywistość. „Gdziekolwiek rodzina zachowała siłę" (a największą „siłę" zachowała rodzina włościańska), tam zupełnie nieoczekiwanie uderzają w jej podwaliny ci, którzy za ostoją wszystkich cnót chrześciańskich podawać ją zwykli, t. j. duchowieństwo katolickie. *Dziennik Petersburski* pisząc w sprawie *Zarania* przypomina, że „przy obecnym ustroju, z kościołem katolickim jest związany cały szereg praw obywatelskich, jako to: formalności przy chrzcie, ślubie i pogrzebach". Tymczasem kościół, wykląwszy setki chłopów, — odmawia spełniania przyjętych na siebie względem „Rodziny" powinności. *Ster* dodaje:

Istotnie, rozporządzenie księży Biskupów względem czytelników *Zarania* wytwarza sytuację, której następstwem będzie skierowanie się jednostek z ludu energiczniejszych i bardziej opornej a prawej natury. ku życiu na „wiarę"; bierniejszych zaś na drogę obłudy.

Kobiety, jako strażniczki rodziny mają prawo i obowiązek domagać się, aby jedności i harmonji rodziny nikt nie podkopywał.

Wartoby było, aby p. L. Straszewicz, obrońca ostoi naszego bytu, spojrzał od czasu do czasu na rzeczywistość, bez szkieł ochronnych feljetonowego dziejopisa.

*** W artykule p. t. „Wdzięczni i umiarkowani" *Kurjer Poznański* omawia stanowcze zachowanie się alzatczyków w porównaniu ze skromnością pewnych kół politycznych polskich w Poznańskiem:

Ci co nadając Alzacji i Lotaryngji konstytucję autonomiczną spodziewali się, że alzatczycy z wdzięczności za to rzucą się Prusom i Niemcom na szyję, omylili się grubo. Obrady sejmu strasburskiego, nacechowane śmiałością i samodzielnością wobec rządu, wykazały, że reprezentanci ludności alzacko-lotaryńskiej, zgodnie z sentymentem tej ludności, nie myślą za konstytucję, która im się [illegible] ścią. Stanowcze i ostre votum niezaufania, potępiające denuncjatorskie węszenie agitacji francuskiej, zapadło jednomyślnie. Wobec tego pewnym być można, że i ewentualne dalsze represje przeciwko Alzacji i Lotaryngji, w myśl pogróżki cesarza, spotkają się ze stanowczym i solidarnym oporem ludności alzacko-lotaryńskiej.

Mimowoli nasuwa się tu pewna analogja. W ten sam dzień, w którym sprawa alzacko-lotaryńska w parlamencie była przedmiotem ożywionej dyskusji, obradowano w Izbie posłów nad nową ustawą przeciwpolską a minister Schorlemer, uzasadniając nowy środek wyjątkowy, zwracający się przeciwko całemu społeczeństwu polskiemu, odróżnił i oddzielił „umiarkowanych" polaków od „radykalnych". Z tamtymi rząd nie chce walczyć, jego polityka zwraca się tylko przeciwko „radykalizmowi" polskiemu. Nie wiemy, co ministra w tej właśnie chwili nowych ciosów uprawnia do takiego rozróżnienia, zdradzającego aż nadto widocznie plan wbicia klinu w społeczeństwo polskie. Zdaje się, że po ostatnich doświadczeniach wobec alzatczyków żaden minister z tak lichą flintą „dyplomatyczną" nie wystąpiłby. Ale podobno w przeciwieństwie do alzatczyków Polacy i w polityce odznaczają się cnotą „wdzięczności". Wprawdzie autonomji nie otrzymaliśmy, przeciwnie, nową ustawę przeciwpolską kują przeciw nam. Ale są u nas ludzie bardzo skromni w swych pretensjach politycznych. Są ludzie, którzy poczuwają się do wdzięczności za lada grzeczność naczelnego prezesa, za pozwolenie na dzień kwiatowy, za chwilowe niezastosowanie wywłaszczenia. Zdaje się, że p. Schorlemer na tej „wdzięczności" opiera swoje nadzieje i dusery w kierunku „umiarkowanych". Miejmy nadzieję, że w tym przypadku jednak przecenił sentyment naszych „wdzięcznych" polityków i niepolityków. Wdzięczność jest tylko cnotą w stosunkach osobistych. „Czarna niewdzięczność" alzatczyków świadczy o ich wyrobieniu politycznym. Bądźmy bardziej cnotliwymi w życiu prywatnym, a mniej „cnotliwymi" w polityce.

Niestety i „Koło Polskie" w sejmie pruskim nie wykazało ostatniemi czasy owego wyrobienia i godności narodowej, jaka cechuje polityków alzackich. Takie wstrzymanie się od głosowania podczas pamiętnych zajść z posłem Borhardtem, krytykowały nawet sfery bardzo „umiarkowane".

Gdy zaś w kilka dni później, Sejm rozpatrywał ustawę antypolską, nasi posłowie nie stawili się w komplecie, ponieważ niektórzy z nich zajęci byli na pogrzebie Donimirskiego. Gdybyśmy nawet wybierali swych przedstawicieli jedynie dla dekoracji, to i wtedy, nie nad trumną jednostki, lecz tam gdzie grzebano przyszłość setek tysięcy powinni się oni znajdować.

*** Proces panny Ketty Mateckiej, staje się obecnie nietylko ciekawym konfliktem dyplomatycznym z powodu znanych interpelacji w angielskiej Izbie gmin, lecz również zagadnieniem prawnym wielkiej na przyszłość donioslości, dzięki

sprzecznym komentarzom sędziów, i wyjaśnieniom rządu rosyjskiego.

Jak wiadomo izba sądowa nie skorzystała z prawa pozwalającego jej na zasadzie art. 1054 ust. k. zamknąć drzwi rozpraw sądowych na cały czas rozpraw, aż do chwili ogłoszenia wyroku, i niewątpliwie wpływ decydujący na dopuszczenie jawności miało angielskie pochodzenie Maleckiej.

Art. 17 kodeksu cywilnego, obowiązującego w Królestwie Polskim orzeka, że przez przyjęcie obcego poddaństwa, traci się prawo do poddaństwa rosyjskiego, jednak istnieje art. 325 kodeksu karnego, obowiązującego na całym terytorjum państwa, ustalający za samowolne przyjęcie poddaństwa karę. Z zestawienia wynika, że przewidziana w art. 17 k. c. naturalizacja w obcym państwie wówczas tylko pociąga za sobą zwolnienie z rosyjskiego poddaństwa, jeśli na to ostatnie nastąpiła zgoda władz rosyjskich. Ponieważ Jan Malecki, ani jego córka zgody takiej nie wyjednali, rząd rosyjski uznaje, że oboje winni być uważani za poddanych rosyjskich.

Wyjaśniając niniejsze stanowisko prawne ministerjum, *Gazeta sądowa* dodaje:

Zwrócić należy uwagę, że wszelkie przepisy wymienione stosować się mogą raczej do Jana Maleckiego, — a w jakim zaś stopniu mogą mieć znaczenie w stosunku do panny Maleckiej, urodzonej już w Anglji w Folkestown w r 1868, t. j. w 8 lat po naturalizacji jej ojca, pozostaje nadal kwestją sporną między państwami, które i dotąd, jak widzimy z rozpraw w londyńskiej izbie gmin, pozostały przy swoim zdaniu. Kwestja ta skomplikowała się niespodziewanie przez okoliczność, że zarówno w akcie oskarżenia w niniejszym procesie, jak i w samym wyroku izby sądowej panna Malecka za poddaną angielską uznaną została.

Według wyjaśnień ministra angielskiego rząd rosyjski tłómaczy tę okoliczność *omyłką* ze strony izby sądowej; lecz z jakich mianowicie względów izba uznała p. Malecką za poddaną angielską, ustalić nie można, gdyż wyroki izby, z udziałem przedstawicieli stanów wydawane, nie są jak wiadomo, zaopatrywane w motywy tego lub innego orzeczenia sędziów.

Interesująca ta kwestja nie zostanie zapewne rozstrzygnięta przez Senat, gdyż p. Malecka nie podaje skargi kasacyjnej — wnosi ją tylko druga skazana panna Roszkowska, której poddaństwo żadnych wątpliwości nie nasuwa.

KRONIKA.

ZJAZD PRAWNIKÓW I EKONOMISTÓW POLSKICH, który odbył się we Lwowie, zgromadził około 200 uczestników. Między innymi przybyli z Warszawy: Wład. Studnicki, Żel. Grotowski, red. Kempner, red. Kasparski, pp. mec. Suligowski, Chrzanowski, Konic, Łypacewicz, Mogilnicki, Makowski, Ochimowski, Rappaport; z Petersburga: Olszamowski i Żukowski; z Berlina: dr. Łukanowski i w. in.

W sekcji ekonomicznej omawiano kwestję robotniczą: „O stanie robotnika w Królestwie" mówił Chwalewik; o stosunkach ekon. w Galicji — dr. Daszyńska-Golińska; o stanie robotnika rolnego w Poznańskim — hr. Szembek.

B. minister dr. Głąbiński wygłosił odczyt p. t. „Nasza polityka ekonomiczna".

W sekcji prawniczej odczytali referaty: prof. Roszkowski, dr. Koht, prof. Górski, mec. Kuratow, mec. Mogilnicki („Władze dyskrecjonalne sędziego karnego"), mec. Makowski i dr. Reinbold („Środki zaradcze przeciw niepoprawnym i anormalnym przestępcom").

Uczestnicy Zjazdu brali udział w uroczystościach z okazji jubileuszu Wszechnicy Lwowskiej.

SPRAWA RAPPERSWILSKA. Wiceprezes Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Narodowego w Rapperswilu, prof. dr. Józef Flach, zwiedziwszy zamek w dniu 19 kwietnia, przekonał się naocznie, że z wyjątkiem poprawienia napisów na drzwiach, ani jednej z wielu obietnic zeszłorocznego Zjazdu dotychczas nie wypełniono.

Nadal Muzeum zamknięte jest w najdogodniejszych dla zwiedzających godzinach; system biletów bez kontramarek nie zabezpiecza przed ewentualnymi nadużyciami; cudzoziemcom objaśnia zbiory ex-piekarz, nie zaprowadzono aparatów do gaszenia ognia; fabrykatów p. Różyckiego, który wbrew orzeczeniu Komisji nadal pozostaje kustoszem — nie usunięto; po dawnemu nie przyjmuje się do Bibljoteki niektórych pism polskich.

Pułkownik Z. Miłkowski złożył Towarzystwu, na ręce d-ra Flacha, ważne dokumenty, tyczące się dawniejszych prób reorganizacji Muzeum.

WARSZAWSKIE TOWARZYSTWO OPIEKI NAD ZABYTKAMI PRZESZŁOŚCI. We własnej siedzibie Towarzystwa, stylowym domu z r. 1632, na Starym Mieście, otwarta została wystawa starożytności polskich. Działy główne: zbiory rzadkich miniatur, hafty kościelne, medaljony, ilustracje ze starych rękopisów czyli t. zw. iluminacje i t. d.

JUBILEUSZ BIBLJOTEKI POLSKIEJ W WIEDNIU. Dnia 29 maja obchodziła kolonja polska w Wiedniu dwudziestolecie założonej ongi przez Stanisława Nowińskiego, bibljoteki. W pierwszym roku istnienia księgozbiór obejmował 1,629 tomów; obecnie liczba ich wzrosła do 23,595.

Bibljoteka zajmuje obszerny lokal przy Mayerhofgasse; kierownikiem obrany został p Schromm.

PRAWO AUTORSKIE. Dnia 22 maja r. b. nastąpiła w Paryżu wzajemna ratyfikacja konwencji, dotyczącej własności literackiej i artystycznej, którą zawarli w dn. 29 listopada 1911 r przedstawiciele rządów Cesarstwa rosyjskiego i Rzeczypospolitej francuskiej. Konwencja zyskuje moc obowiązującą po upływie sześciu miesięcy, a zatym 22 listopada r. b.; na jej zasadzie wyłączne prawo przekładu przysługuje autorom w obu krajach (lub ich prawonabywcom) w ciągu lat dziesięciu od czasu wydania ,oryginału. Dla dzieł naukowych i technicznych termin skraca się do lat trzech.

ECHA DEMONSTRACJI LWOWSKIEJ. Towarzystwo polskiej młodzieży „Kuźnica" ogłasza, że policja lwowska, po zajściach z powodu wyodrębnienia Chełmszczyzny, zaproponowała jednemu ze słuchaczów politechniki stałe wynagrodzenie za dostarczanie informacji o zamierzanych przez młodzież (wiecach, manifestacjach, i t. d. „Kuźnica" zwróci się do Senatu, aby wziął młodzież w obronę przed tego rodzaju machinacjami.

Zmarł Antoni Satkowski, były maturzysta szkoły handlowej w Będzinie i słuchacz politechniki lwowskiej, wskutek ran, otrzymanych podczas ,demonstracji. W kołach młodzieży nie był on bliżej znany, — przypuszczają, że był jednym z owych biernych uczestników, którzy demonstrowali na ulicy Potockiego.

Prenumerata „Prawdy"

wraz z bezpłatnym dodatk:

W Warszawie: miesięcz. kop. 70, kwartal. rb. 2, rocz. rb. 8, z odnosz. do domu.

z przesyłką poczt. do wszyst- [illegible] rb. 10

[illegible]

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Auto- [illegible] po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści [illegible] garmontowy jednoszpal- [illegible]

Przedpłatę przyjmują admini- [illegible] wszystkie księgarnie kjoski i kantory pism perjodycznych.

[illegible]

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, **od godz.** 10 do 5 pp.

Za redaktora: **Wincenty Rzymowski.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk. L. Bogusławskiego Warszawa S-to Krzyska 11.